

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**WANDA CHOTOMSKA**

**MOJA BABCIA GRA NA TRĄBIE**

Wydawnictwo TOWER PRESS

GDAŃSK 2001

## ROZDZIAŁ I

### Kartka z pamiętnika Ptaszniczki

Postanowiłam pisać pamiętnik. Na papierze nutowym oczywiście. Jeśli ktoś kiedyś po latach będzie ten pamiętnik czytał, pewnie się zdziwi, że wybrałam taki właśnie papier. Więc wyjaśniam od razu – w naszym Miasteczku pisze się wyłącznie na papierze nutowym. Wszystko. Nawet rachunki i komunikaty urzędowe. Gazetę też. Bardzo to ładnie wygląda. Zupełnie jak piosenka.

Papieru w kratkę w ogóle się u nas nie używa. Nawet do matematyki. Żadnych kratkowanych zeszytów, bo w takich zeszytach cyfry wyglądają, jakby siedziały w klatkach za kratami. A my uważamy, że nikogo nie powinno się więzić w klatkach. Nawet cyfr. I chyba mamy rację.

W innych miastach uczniowie pocą się do siódmych potów, żeby te wszystkie 7x7 wyciągnąć zza kratek zeszytów i wpakować sobie do głowy, a u nas – żadnych kłopotów. Recytujemy tabliczkę mnożenia jak z nut i z rachunków inkasujemy wyłącznie piątki. Dzięki tym pięcioliniom na papierze nutowym właśnie.

No a litery na pięciolinii też wyglądają jak nuty. Śpiewająco pisze się na takim papierze. Pióro samo fruwa w rękę. Naprawdę fruwa, bo to jest ptasie pióro.

W naszym Miasteczku wszyscy piszą ptasimi piórami. Innych nie ma. A ptaków jest bardzo dużo. I wszystkie oczywiście bez klatek. Na wolności. Nawet kanarki.

W moim ogrodzie też mieszkają kanarki. Właśnie jeden z nich przyniósł mi przed chwilą pióro do pisania. Jest złote jak promyk słońca. Będę nim pisała o słońcu, które świeci nad naszym Miasteczkiem, o wszystkich moich znajomych ludziach i ptakach. I o sobie oczywiście też.

Ale zacznę od słońca. Ono naprawdę zawsze świeci nad naszym Miasteczkiem, nawet w nocy świeci, bo Miasteczko ma w herbie Słońce. Jeden taki wielki, złoty herb jest na wieży ratusza, a inne mniejsze nad wejściami do każdego domu. Nie wiem, czy z prawdziwego złota, ale pewnie z prawdziwego, bo złocą się jak prawdziwe.

Na ratuszu, oprócz tego herbu, jest jeszcze zegar słoneczny, a ratusz stoi na środku placu, który też wygląda jak słońce albo tarcza zegara. Jest okrągły i dwanaście ulic rozchodzi się od niego promieniście we wszystkich kierunkach jak dwanaście słonecznych godzin.

Napisałam – ulic, ale to są właściwie uliczki. Małe i bardzo kolorowe. Całe w kwiatach, klombach, ogródkach. I nazywają się też kolorowo: Różowa, Niebieska, Zielona. Jak wstążki od bukietu.

Całe nasze Miasteczko wygląda jak bukiet. Z ulicy tego nie widać, bo widzi się tylko poszczególne domy, drzewa i kwiaty, ale jak się spojrzy z wysoka, z wieży ratusza, to wszystko układa się w bukiet związany tymi wstążkami uliczek. Nawet góry i lasy otaczające Miasteczko wcale nie wyglądają jak góry i lasy, tylko jak srebrno-zielony brzeg bukietu.

Nie wiem, czy to dobrze tłumaczę, ale są takie bukietiki – nawet ja dałam kiedyś taki mojej mamie na imieniny – robione właśnie w ten sposób. Kwiaty układa się ciasno, płasko, jeden przy drugim, a pod spód daje się materiał – tiulowy albo koronkowy mankiet dokoła łądyżek. Więc lasy i góry dokoła Miasteczka wyglądają właśnie jak taki mankiet.

Z lotu ptaka widać to jeszcze wyraźniej niż z wieży ratusza, a mnie się bardzo często śni, że jestem ptakiem. Jest takie przysłowie: kto z kim przestaje...

Więc może właśnie dlatego mam takie sny?

Bo mój ogród jest pełen ptaków i ja się z nimi przyjaźnię. Od zawsze, odkąd tylko pamiętam. Tak, że już nawet ludzie w Miasteczku zapomnieli, jak mam na imię, i kiedy idę, wołają:

– O, idzie nasza Ptaszniczka!

Chociaż naprawdę mam na imię Andzia. Ale Ptaszniczka bardziej mi się podoba. I moim ptakom chyba też.

Dzień dobry, Ptaszniczko! – woła do mnie codziennie rano mój przyjaciel szpak, który ma takie zdolności do języków, że oprócz ptasiej mowy nauczył się również wielu słów po ludzku.

A inne ptaki powtarzają to samo po swojemu.

– Wit-wit-ciwit-ciwit! – szczebioce jaskółka nad oknem.

– Dji-dji-dju! – pogwizduje gil.

– Pink-pink-pikielpik! – wtóruje mu szczygieł.

Wszystkie moje ptaki rozpoznają po głosie. Kosa, makolągwę, sikorkę, drozda, skowronka, słowika. I kanarki, i gołębie, i wilgę, która śpiewa tak pięknie jak flet.

O, teraz też śpiewa... A może to nie ona? Może to ktoś inny gra na prawdziwym flecie? Nie, jednak ona.

Moje ptaki są bardzo mądre. Wszystko o mnie wiedzą. W myślach chyba czytają. Ta wilga na przykład... nigdy jej nie mówiłam, że najbardziej na świecie lubię głos fletu i dlatego tak bardzo ten głos lubię, a ona śpiewa i śpiewa. Jakby wiedziała, jakby znała mój sekret...

Żeby tylko szpak się do niej nie dołączył. Śpiew wilgi nie każdy rozumie, a jak szpak zacznie gadać, wszystko wypaple...

Masz ci los! Włączył się! Wskoczył na czereśniowe drzewo i przekrzykuje wilgę głośnym wołaniem:

– Flet! Flet! Flet!

– Ani słowa więcej! – wołam do niego przez okno. – Zaklinam cię na wszystkie czereśnie świata, żebyś nic nie mówił, bo to sekret! A on na to jeszcze głośniej:

– Flet-sekret! Flet-sekret! Flet-sekret! Och, żeby już wreszcie zaczął jeść te czereśnie i przestał gadać! Niechby nawet całe drzewo oskubał...

## ROZDZIAŁ 2

### Sąsiedzi

Odłóżmy na razie pamiętnik pisany na nutowym papierze i z ogrodu pełnego ptasiej muzyki przenieśmy się na sąsiednią posesję. Do białego, piętrowego domku, w którym mieszka pewna Babcia, Dziadek i wnuk Janek.

Niewykluczone, że Ptaszniczka wymieniłaby tych troje w innej kolejności – na pierwszym miejscu figurowałby zapewne Janek, a potem dopiero Babcia i Dziadek. Ale my uważamy, że pierwszeństwo należy się jednak Babci. Dziadek i wnuk, jako dżentelmeni, przyznaliby nam na pewno rację. Babcia była w ich domu najważniejszą osobą.

O kimś, kto jest taki ważny, mówi się zwykle, że gra pierwsze skrzypce. Ale my tak o Babci nie powiemy. Nie pasuje nam to porównanie. Bo czy o osobie, która gra na trąbie, można powiedzieć, że gra pierwsze skrzypce?

A Babcia grała właśnie na trąbie. I to nie na żadnej tam malutkiej trąbce, takiej, na jakiej hejnaliści wygrywają hejnały, tylko na prawdziwej, wspaniałej, wielkiej, mosiężnej trąbie, największej ze wszystkich trąb, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Muzycy nazywają czasem takie trąby tubami, ale my zostaniemy przy trąbie. Czy nie brzmi to o wiele bardziej dostojnie niż tuba? Wystarczy powiedzieć: trąba, i w samej nazwie, zanim się jeszcze na tej trąbie zagra, słychać już potęgę głosu, siłę tak wielką, że mury zdolna jest rozwalać.

Był nawet kiedyś taki wypadek. W czasie wojny. Nie, nie, nie w czasie tej ostatniej i nawet nie w czasie przedostatniej, tylko bardzo, bardzo dawno temu, kiedy żołnierze chcąc zdobyć miasto Jerycho zaczęli grać na trąbach i od tego bardzo głośnego trąbienia rozpadły się mury miasta.

Znacie takie powiedzenie – trąba jerychońska? Właśnie stąd się wzięło. Od tego miasta Jerycho.

Tak, tak – trąba Babci ma imponujący rodowód i choć na razie nie rozwalila jeszcze żadnych murów, a Babcia gra na niej wyłącznie w celach pokojowych – patrzmy na nią z szacunkiem, bo nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Tylko nie myślcie sobie, że Babcia odziedziczyła swoją trąbę po zdobywcach Jerycha. Od tamtych czasów minęło już chyba ze siedem tysięcy lat, żadna trąba by tak długo nie przetrwała, więc trąba Babci może być co najwyżej pra-pra-pra-pra-prawnuczka tamtych jerychońskich. Babcia dostała ją w prezencie ślubnym. Od swego taty, który nauczył ją również grać na trąbie.

– Lepiej, żeby żona grała mężowi na trąbie niż na nerwach – powiedział.

Bardzo fajny był ten tata Babci. Inni mężczyźni uważają, że kobietom wystarczy blacha kuchenna i że dla dobrego domowego ogniska powinny dmuchać wyłącznie w palenisko, kiedy ogień pod kuchenną blachą nie chce się rozpalić – a on nie! Dał Babci trąbę i Babcia dmucha w nią z takim zapałem, aż iskry lecą. Do tańca gra i do słuchu. Wszystko potrafi zagrać.

Nawet kołysanki trąbiła wnukowi nad kołyską, kiedy był jeszcze mały. „Trąbabcia” – mówił o niej wtedy Janek, bo mu się dwa słowa – trąba i babcia – złączyły w jedno. Teraz jeszcze czasem też tak ją nazywa – chociaż jest już duży.

A te kołysanki nad kołyską to nie tylko Babcia Jankowi grała. Dziadek też. Bo Dziadek gra na wiolonczeli. Zanim ożenił się z Babcią, grał na skrzypcach, ale po ślubie przerzucił się na większy instrument. Pewnie do tej trąby chciał się dopasować.



Teraz grają już we troje. Bo Janek też gra. Na flecie. I piosenki pisze. Dziadek i Babcia najbardziej lubią tę, którą napisał o nich. O nich i o muzyce. O tym jak siedzą sobie wieczorem w domu, przy otwartym oknie, drzwi na balkon też są otwarte, bo wieczór ciepły ptaki w ogrodzie. Ptaszniczki już zasnęły, już ich nie słyszeć, czasem tylko słowik się odezwie, a oni siedzą tak we troje i muzykują.

Ta piosenka ma tytuł:

### MOJA BABCIA GRA NA TRĄBIE

Moja Babcia gra na trąbie,  
Dziadek wiolonczelę ma,  
a na flecie w tym tercecie  
wnuczek bardzo ładnie gra.

Gdy zagra trąba i wiolonczela,  
jak również flet piccolo,  
to, proszę ludzi,  
słońce się budzi  
i świat ma ładniejszy kolor.

Muzyka jest dobra na serce,  
bo lat ci ubywa, gdy zagrasz,  
i nie wiesz już, co to korzonki,  
reumatyzm, skleroza, podagra.  
Leciutki się robisz jak piórko,  
jak ptaszek, jak motyl, jak wiatr  
i śmiejesz się głośno,  
i zima jest wiosną,  
i znów masz piętnaście lat.

Babcia trąbi jak archanioł,  
Dziadek gra jak młody bóg

i jak szatan w tym tercecie  
gra na swoim flecie wnuk.

Muzyka jest dobra na serce,  
bo ludziom potrzebna jest radość,  
więc okna szeroko otwórzmy  
i grajmy do tańca sąsiadom.

Niech nuta za nutą poleci  
jak ptaszek, jak motyl, jak wiatr,  
niech z trąby wyfrunie  
i śpiewa na strunie,  
i cieszy cały świat!

## ROZDZIAŁ 3

### Dalszy ciąg pamiętnika Ptaszniczki

Nie wierzę w bociany. To znaczy – nie wierzę w to, że bociany przynoszą dzieci. W każdym razie nie do nas. Gdzie indziej może to się i zdarza, ale u nas absolutnie nie. Nie dlatego, żeby u nas nie było bocianów. Są. Na skraju Miasteczka mają swoje gniazdo, wielkie jak młyńskie koło, i same też są duże, mają długie nogi, mocne skrzydła i potężne dzioby, przynoszą w nich żaby do gniazda, ale dzieci? Wykluczone !

Nie wierzę w to i koniec, i mam na ten temat swoją własną teorię. Tak sobie wymyśliłam, chociaż nie jestem zupełnie pewna, czy to prawda: w naszym Miasteczku przynoszeniem dzieci nie zajmują się bociany, tylko zupełnie inne ptaki. Śpiewające.

Bociany nie są muzykalne. Nie umieją śpiewać, tylko klekocą. Wydają taki drewniany, suchy głos, jakby tłukły jednym kawałkiem drewna o drugi. A w naszym Miasteczku żaden człowiek nie ma drewnianego głosu i drewnianego ucha. Wszyscy ludzie znają się na muzyce i bardzo ją kochają. Dzięki tym śpiewającym ptakom właśnie.

Jest takie przysłowie: czym skorupka za młodu nasiąknie... Babcia Janka często tak mówi. I to przysłowie tłumaczy wszystko. Śpiewający ptak, nawet wtedy kiedy nie śpiewa, cały jest piosenką. Niesie malucha w dziobie i przekazuje mu swoje umiejętności, a dzieci chwytają wszystko w lot.

Mnie to chyba przyniósł skowronek. Mama mówi, że urodziłam się o świcie, więc to by się zgadzało, bo skowronki wstają najwcześniej...

Chociaż, bo ja wiem? Może to nie był skowronek, tylko szpak? Skowronki nie mają takich zdolności jak szpaki do gadania i śpiewania w innych językach, nie potrafią naśladować innych ptaków, może nawet nie rozumieją ich? Więc może ja te wszystkie umiejętności odziedziczyłam po szpaku? Może to on przyniósł mnie do Miasteczka?

On się nawet czasami tak zachowuje, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że to był on. Jakby należały mu się specjalne względy. Najładniejsze gniazdo i najlepsze jedzenie... O, znowu siedzi na czereśni! Pół drzewa już oskubał z owoców.

Może z nim pogadać? Żeby tylko chciał odpowiedzieć...

– Szpaku, kto mnie przyniósł na świat?

Nie odzywa się. Łupie dziobem w czereśnie, aż pestki lecą. Może nie słyszał?

– Szpaku, powiedz, kto? Zdradzisz mi ten sekret...

Przerwał na chwilę jedzenie. Namysła się.

– Szpaku, powiedz, kto? Zdradzisz mi ten sekret...

Figę się dowiedziałam. Potwierdził tylko, że to sekret, aż trzy razy to słowo powtórzył i schował się w gęstwinie czereśniowych liści.

Trudno – jak sekret, to sekret. Może kiedy indziej mi powie? A teraz dobrze, że się schował, że mnie nie widzi i nie może podsłuchać moich myśli. Nie tylko on ma swoje sekrety...

O Janku sobie pomyślałam. Jego to na pewno przyniosła na świat wilga. Ona jedna ma taki głos jak flet i dlatego właśnie Janek gra na flecie. Nie wybrał sobie trąby jak Babcia ani wiolonczeli jak Dziadek, tylko właśnie flet.

Ten jego flet nazywa się piccolo i to znaczy – mały. W porównaniu z trąbą i wiolonczelą jest rzeczywiście maleńki. Ale trzeba mieć wielki talent, żeby grać na nim tak jak Janek.

Wszyscy ludzie tak mówią. Nie tylko ja. Poszłam dzisiaj rano do piekarni po chleb i słyszałam, jak pan Piekarz rozmawiał z Babcią Janka.

– Udał się pani wnuk – chwalił Piekarz. – A co? Nie mówiłem, że będzie z niego pociecha? Nie przepowiadałem? Przyszła z nim pani kiedyś do piekarni, mały jeszcze był, a że to było przed Gwiazdką, spytałem, co by chciał dostać od Mikołaja. Myślałem, że chce zabawkę, piłkę, konia na biegunach, no, wie pani, jak to dzieciaki w jego wieku, a on mówi – flet! Pamięta pani, co wtedy powiedziałem?

– Z tej mąki będzie chleb – przypomniała sobie Babcia.

– I co, nie miałem racji? – uśmiechnął się Piekarz i wybierając ze sterty rogali leżących w koszu największy i najbardziej rumiany, dodał: – A to dla wnuka w prezencie. Za najładniejszą piosenkę, jaką ułożył, najładniejszy rogalik, jaki zdarzyło mi się upiec. Piękna piosenka. Słyszałem ją wczoraj wieczorem i całą noc przy robocie sobie nuciłem. „Muzyka jest dobra na serce...” – i jak to dalej idzie?

– „Muzyka jest dobra na serce, bo ludziom potrzebna jest radość...” - podpowiedziała Babcia, a Piekarz przytaknął.

– Święta racja! Święta racja, proszę pani! Nie samym chlebem człowiek żyje, prawda? Ale jak chleb się uda, to też z tego jest radość. Może ten pani wnuk i o pracy piekarza jakąś piosenkę by napisał?... A swoją drogą, jak on te piosenki pisze? Jak mu się tak w głowie wszystko układa?

Nie tylko Piekarz się nad tym zastanawiał. Ja też nieraz o tym myślałam. Więc kiedy wracałyśmy z Babcią Janka z piekarni, skorzystałam z okazji i zadałam jej to samo pytanie:

– Jak się układa piosenki?

## ROZDZIAŁ 4

### Jak się układa piosenki?

Idą obok siebie. Babcia i Andzia. Babcia wyższa, ale to tylko dzięki temu, że ma buty na obcasach i kapelusz na głowie. Kapelusz ją podwyższa. I jeszcze piórka na kapeluszu. Wesołe, kolorowe. Cały pęk piórek. Papuzie chyba.

A Babcia przypomina pliszkę. Chodzi w taki właśnie sposób. Prędko, prędko, przedziutko, jakby biegła, stawia kilkanaście drobnych kroczków, zatrzymuje się, klapnięciem ręki poprawia kapelusz i znowu – drep, drep, drep.

Więc idą tak obok siebie.

Fru, fru, fru! – podfruwa przy każdym kroku kapelusz z papuzimi piórkami.

Gdyby mu Babcia nie dała klapsa, pewnie by odfrunął. Bo to klapnięcie ręką wygląda jak klaps – siedź grzecznie i nie wierć się!

A w drugim ręku Babcia trzyma koszyk z chlebem i rogalikami. Andzia też niesie chleb. Ciepły jeszcze. Udał się piekarzowi. Pachnie na całą ulicę. Bochenek jak złoto. Skórka świecąca, rumiana. Aż kusi, żeby spróbować. Choćby kawałek, kawałeczek przylepki, tak na jedno odgryzienie...

Idą i Babcia wcale nie odpowiada na pytanie Andzi, jak się układa piosenki, tylko sama zadaje pytanie.

– Od czego zaczyna się chleb? – pyta nagle i Andzia, odrywając usta od ciepłej, chlebowej skórki, od przylepki, którą zdążyła już nadgryźć, odpowiada:

– Od przylepki...

– Głodnemu chleb na myśli! – śmieje się Babcia. – Pytałaś, jak się układa piosenki, więc chcę ci wytłumaczyć i myślę, że na przykładzie chleba będzie jaśniej...

„Na razie wszystko jest niejasne. Oprócz tego chleba oczywiście. Tylko on jest jasny jak słońce” – myśli sobie Andzia, ale już nie skubie chleba, tylko słucha.

A Babcia mówi, że chleb zaczyna się od ziarenka.

– Najpierw jest ziarno pszenicy, prawda?

– Prawda – przytakuje Andzia.

– Jak takie ziarno rzuci się w glebę jałową, suchą, jak trafi na kamień albo na twardą, gliniastą skorupę, to co się z nim stanie?

– Nie urośnie – odpowiada Andzia i ciągle jeszcze nie wie, jaki związek ma to ziarno pszenicy z piosenką.

– A teraz sobie wyobraź, że nasze ziarenko upadło na żyzną glebę – mówi Babcia. – Trafiło na wspaniale przygotowany grunt, który tylko czeka, żeby to ziarno przyjąć. Ziarenko czerpie z gleby soki, pęcznieje, kiełkuje...

I Andzia zaczyna rozumieć. Przypomniała sobie:

– Kiełkujące ziarno wygląda jak nuta!

– No właśnie – kiwa głową Babcia. – Chleb zaczyna się od jednego ziarenka, a piosenka od nuty, od jednego dźwięku. Bo tak samo jak w ziarenku pszenicy jest załazek rośliny, która zaowocuje kłosem, w tej jednej nucie mieści się załazek piosenki. Wykiełkuje, rozwinie się i wyda owoce, jeśli trafi na przygotowany grunt. Na człowieka, który ma wyobraźnię i potrafi pracować.

– Jak rolnik, jak młynarz i jak piekarz! – dopowiada Andzia i w myślach widzi rolnika wiążącego pszenicę w snopy, młynarza mielącego ziarna na mąkę, piekarza piekącego z niej chleb.

– Masz rację – przytakuje Babcia. – Bez pracy nie ma kołaczy. Nad piosenką trzeba się porządnie napracować. I znać swoje rzemiosło, żeby wyszła taka właśnie jak ten chleb naszego piekarza – zgrabna, świeżutka i bez zakalca. Co

prawda, przy pisaniu piosenek pomagam czasem Jankowi, ale, ciii... niech to zostanie między nami.

– A czy ja... – Andzia przetyka ślinę razem z kawałkiem ciepłej, chlebowej skórki. Nie mogła się oprzeć. Babcia tak smakowicie mówiła. – Czy ja mogłabym prosić, żeby mi pani podyktowała tekst tej piosenki o muzyce i radości?

– Mogłabyś – uśmiecha się Babcia. – Ale ja ci nie podyktuję. Janka poproś. Nawet zaraz możesz to zrobić. No, co tak kręcisz nosem? Ja cię zapraszam, a ty...

Furtka jest otwarta. Babcia zaprasza Andzię, żeby weszła, ale Andzia nie wchodzi. I rzeczywiście kręci nosem. Swąd poczuła.

– Mleko – mówi – zdaje mi się, że mleko się przypaliło...

– Jezus Maria! – rzuca się Babcia do drzwi. – Dwóch chłopów w domu i mleka nie mogą przypilnować! Artyści!

I tak się kończy rozmowa Andzi z Babcią. Rozmowa, która zaczęła się od pytania:

Jak się układa piosenki?



## ROZDZIAŁ 5

### „Co słycać?”

Większość mieszkańców Miasteczka zaczynała swój dzień od „Co słycać?” Słowa te piszemy w cudzysłowie, ponieważ tytuły zawsze pisze się w cudzysłowie, a „Co słycać?” było tytułem gazety. Ta jedyna gazeta ukazująca się w Miasteczku wychodziła o świcie.

O wszystkich gazetach mówi się, że wychodzą. Nie jest to co prawda określenie ściśle i nie należy brać go dosłownie. Żadna ze znanych nam gazet nie chodzi przecież na własnych nogach, a na cudzych też raczej rzadko. Z gmachu drukarni jeżdżą na ogół do kiosków samochodami.

Tylko że w Miasteczku nie było samochodów, kiosków i gmachu drukarni... Redakcje i drukarnie mieściły się w jednym pokoju, a redaktor i drukarz był jednocześnie gońcem. Wieczorem redagował gazetę, w nocy ją drukował, a rano chodził od domu do domu budząc mieszkańców głośnym wołaniem:

– „Co słycać?”

– Dziękuję, wszyscy zdrowi. – Albo: – Wszystko w porządku – padało w odpowiedzi, ale pan Jednoosobowy, bo tak go wszyscy nazywali, nie był zadowolony. Krzywił się i mruczał pod nosem:

– To nie jest informacja do gazety...

Pan Jednoosobowy był nastawiony wyłącznie na sensacje. A ponieważ w Miasteczku ludzie żyli spokojnie i sensacje zdarzały się nader rzadko, sam te sensacje produkował.

Usłyszawszy, że w czyimś gospodarstwie ocielila się krowa, puszczał wodze fantazji i pisał:

FENOMEN NATURY! KROWA POWIŁA BYCZKA O DWÓCH GŁOWACH I OŚMIU NOGACH!

A kiedy właściciele krowy żądali sprostowania, wyjaśniając, że krowa urodziła po prostu dwa cielęta, w gazecie pojawiał się artykuł brzmiący nie mniej sensacyjnie:

REWELACYJNE ODKRYCIE W OBORZE! BYCZEK O DWÓCH GŁOWACH I OŚMIU NOGACH OKAZAŁ SIĘ DWOMA BYCZKAMI! TRZECIEGO STRZELIŁA REDAKCJA!

Tego ranka, kiedy Babcia poszła do piekarni, Janek znalazł w „Co słycać?” inną rewelację:

JAK DOWIADUJEMY SIĘ Z KÓŁ DOBRZE POINFORMOWANYCH, NASZ MŁODY, ROKUJĄCY WIELKIE NADZIEJE KOMPOZYTOR, KTÓRY DOTYCHCZAS ZAJMOWAŁ SIĘ PISANIEM PIOSENEK, STWORZY RÓWNIEŻ OPERĘ. PRZYPOMINAMY, ŻE W MUZYCE NIEWAŻNA JEST METRYKA TWÓRCY. MOZART, KTÓREGO RÓWNIEŻ NAZYWANO „CUDOWNYM DZIECKIEM”, STWORZYŁ SWOJE PIERWSZE DZIEŁO OPEROWE W WIEKU LAT DWUNASTU.

– Ale opera! – parsknął Janek podsuwając gazetę Dziadkowi.

Obydwaj siedzieli w kuchni, a na kuchennej płycie stał garnek z mlekiem, które miało się przegotować.

– O co ci chodzi? O Mozarta? – uśmiechnął się Dziadek.

– Niech dziadek nie żartuje! – zaperzył się Janek. – Po pierwsze, nie jestem żadnym cudownym dzieckiem i w ogóle nie jestem dzieckiem, bo mam piętnaście lat, po drugie, nie zamierzam pisać żadnej opery, a po trzecie, jeśli się okaże, że te rewelacje pochodzą od Dziadka...

– Po pierwsze, to ty się nie baw w detektywa! – przerwał mu Dziadek. – Dobrze sobie! Zamiast się cieszyć, że tak ładnie napisali o nim w gazecie, śledztwo chce urządzać! Nie masz się o co złościć. Owszem, rozmawiałem z redaktorem. A co, nie wolno mi rozmawiać, z kim chcę? Mam swoje lata i wiem, co robię. Wierzę, że w przyszłości napiszesz operę, i to mu właśnie powiedziałem. Resztę dodał od siebie. Co prawda mógł jeszcze dodać, że uzdolnienia muzyczne są dziedziczne, ale Bóg z nim... A teraz zobaczmy, co słyhać na świecie.

I Dziadek zagłębił się w lekturze mruczając od czasu do czasu:

– Nie, no tym razem to już Jednoosobowy naprawdę przesadził... Poniosło go!... Co za bzdury!... Z palca sobie wyszał!... A swoją drogą trzeba przyznać, że chłop ma fantazję. O, zobacz tylko, Jasiu... Bajki zaczął pisać. Król, wojsko... Chce zapanować nad światem... Szykuje się do podbojów... Ciemne chmury gromadzą się nad horyzontem. Ciekawe, jak to się skończy?

I tak się obaj zaczytali, że zapomnieli o mleku.

## ROZDZIAŁ 6

### Andzia pisze w pamiętniku

We wtorek drelowałam wiśnie. Mama mi kazała. Nawet byłam trochę zła, bo przez to drelowanie nie miałam czasu na pisanie. Przez cały dzień nie widziałam nic innego, tylko pestki i pestki. Aż rąk nie mogłam wieczorem domyć.

Dopiero w nocy pogodziłam się z pestkami. Bo one mi się przyśniły. Dziwnie i bardzo pięknie. Nawet nie wiem, czy będę umiała wszystko opisać. Strasznie trudno jest opisać sen. Może nawet jeszcze trudniej niż muzykę?

Więc śniło mi się, że byłam w jakimś ogrodzie, który był moim ogrodem, chociaż wcale nie wyglądał jak mój ogród. Ani jedno drzewo w nim nie rosło i nie było ani jednego ptaka. Nic, tylko cisza i pustka. I sucha ziemia. Zupełnie sucha. Jakby spalona. Jakby pożar tędy przeszedł i nic po sobie nie zostawił. Tylko swąd. Tylko zapach spalenizny. Zaczęłam płakać.

I nagle zobaczyłam Janka. Stał na środku spalonego ogrodu. Na wyciągniętej dłoni trzymał dwie pestki wiśni. Wzięłam jedną. Chociaż nie powiedział ani słowa, wiedziałam, że mam ją zasadzić. A on zasadził swoją.

I wyrosły obok siebie dwa drzewa. To się może zdarzyć tylko we śnie, drzewa nigdy tak prędko nie rosną, nie wiadomo, ile lat trzeba czekać, żeby były takie wielkie, a one od razu urosły.

Były białe od kwiatów i czerwone od wiśni. Jednocześnie miały kwiaty i owoce i już nie było zapachu spalenizny. Cały ogród pachniał kwiatami.

Wszystko śpiewało. Muzyka taka szła od drzew, kwiaty, liście i owoce śpiewały, a myśmy z Jankiem tańczyli...

Ten sen był najważniejszym wydarzeniem całego tygodnia. Bo poza tym nic takiego ważnego się nie wydarzyło.

Z wiśni, które wczoraj drelowałam. Mama usmażyła konfitury, na oknie stanął gąsior z sokiem, spiżarnia zapełniła się słojami z kompotem.

Aha, posadziłam dwie pestki w ogrodzie. Mniej więcej w tym miejscu, gdzie mi się drzewa przyśniły. Ale pewnie nic z nich nie wyrośnie. Tyle pestek upadło na ziemię, kiedy szpak oskubywał czereśnie, i nic. Żadna nie urosła.

W ogóle nic mi się w tym tygodniu nie udaje. Poza tym snem oczywiście...

Po pierwsze, nie udało mi się zdobyć tekstu piosenki. Wtedy kiedy mnie Babcia Janka zapraszała, nie mogłam tam pójść, bo mleko się u nich akurat przypaliło i to nie była odpowiednia chwila na składanie wizyt. A później to się już jakoś nie składało. Nie chciałam przeszkadzać Jankowi, bałam się, że może nie będzie miał czasu... Głupio tak przyjść i powiedzieć:

– Podyktuj mi piosenkę...

Zwłaszcza że mi pryszcz na nosie wyskoczył. Coś okropnego, jak ja z tym pryszczem wyglądam! Próbowałam go usunąć i nic nie pomogło. Żadne wyciskanie, żadne smarowanie. To jest właśnie ta druga sprawa, która mi się nie udała.

A po trzecie, stłukłam lusterko. Jak ten pryszcz oglądałam. To było pamiątkowe lusterko Mamy. Mama jeszcze nic nie wie, ale ja wiem – zbite lusterko nie wróży niczego dobrego ani na ten tydzień, ani na następne. Siedem lat nieszczęścia. Chyba że udałoby mi się odkupić identyczne... Bardzo bym chciała.

I żeby zdobyła piosenkę. I żeby się pryszcz odpryszczył. I żeby mi się dzisiaj przyśnił taki sam sen. Albo nie taki sam, tylko dalszy ciąg. Od tego miejsca, kiedy tańczymy.

Tańczymy – ja oczywiście bez pryszcza... Tańczymy – Janek uczy mnie słów piosenki... Tańczymy – i wszystko dokoła śpiewa...

\*

Nie miałam śpiewających snów. Śnił mi się huk, łomot, ogień. Strach. A rano okazało się, że to prawda. Stało się coś bardzo niedobrego. Na ulicach pełno żołnierzy. Mają czarne hełmy i czarne mundury.

Do tej pory wszystko to, co niedobre, działo się bardzo daleko. Za górami, za lasami. U nas świeciło słońce. A oni przyszli zza gór i zabrali nam słońce.

Strącili z wieży ratusza herb Miasteczka. Na rynku ustawili armaty. Po dwie przy wylocie każdej uliczki. Przy naszej też. Z okienka na strychu widać ich otwarte paszcze. Przy każdej armacie dwóch w mundurach.

Ci na ulicy też chodzą po dwóch. Środkiem jezdni. Szttywno jak manekiny. Jak nakręceny. Jednakowi. Odmierzają takie same kroki, mają takie same mundury, buty, hełmy. Spod hełmów nie widać twarzy. Jakby ich wcale nie mieli.

Czego oni od nas chcą? Po co tutaj przyszli?

\*

Mama wróciła przed chwilą z miasta. Przyniosła jakiś druk. Jeszcze nigdy takiego nie widziałam. Czarne litery w czarnych ramkach. Same duże, ani jednej małej.

#### OBWIESZCZENIE

KTO JEST WASZYM KRÓLEM?  
KRÓL PONURAS PIERWSZY,  
KTÓRY WŁAŚNIE DLA WAS  
NAPISAŁ TEN WIERSZYK.

OD DZISIAJ NAZWĘ MIASTECZKA  
ZMIENIA SIĘ NA PONUROGRÓD.

To wygląda na jakiś dowcip – powiedziała Mama. Ale wcale się z tego dowcipu nie śmiała.

## ROZDZIAŁ 7

### Król Ponuras

Nikt nie przypuszczał, że to może być prawda. Wszyscy mieszkańcy Miasteczka sądzili, że rymowane obwieszczenie nie jest niczym innym jak tylko dowcipem, żartem, kawałem.

Co prawda niektórzy, patrząc na żołnierzy w czarnych mundurach i armaty stojące na rynku, dodawali do tych słów jeszcze rozmaite przymiotniki: smutny żart, ponury dowcip albo głupi kawał, ale większość uważała inaczej.

– Ciekawe, kto to napisał? – zastanawiali się ludzie. – Chyba jakiś satyryk.

– Nikt inny tylko Jednoosobowy – mrugał Dziadek porozumiewawczo do Janka. – Gazety mu nie pozwolili wydawać, to wziął się na sposób... Król Ponuras, cha, cha! Ale zrobił tego ich króla na szaro! Nie damy się, Jasiu. Zobaczysz, że się nie damy. Śmiech jest najlepszą bronią. Nasze Miasteczko nigdy nie będzie Ponurogradem.

A tymczasem król rzeczywiście miał na imię Ponuras Pierwszy i zajmował się pisaniem wierszy. To nie był dowcip, tylko prawda, niestety. Prawda równie ponura jak wiersze, które wychodziły spod pióra tego ponurego wierszoklety.

Bo Ponuras nigdy nie pisał o słońcu, ptakach i kwiatach, tylko zawsze o armatach. Nawet taką rymowaną gramatykę dla dzieci ułożył:

Kto, co? – armata

jest pępkiem świata.

Kogo, czego? – armaty



warte są poematy.  
 Komu, czemu? – armacie  
 przypatrywać się macie.  
 Kogo, co? – armatę  
 szanuj bardziej niż tatę.  
 Z kim, z czym? – z armatą  
 idź przez zimę i lato.  
 O kim, o czym? – o armacie  
 myśl przy zupie i herbacie.  
 O, armato! O, armato! –  
 ja cię kocham, co ty na to?

Odpowiedź na to pytanie mogła być tylko jedna. I wszystkie armaty odpowiadały tak samo:

– BUM! BUM! ŁOBUDU!

Tak często i tak głośno strzelały, że król ogłuchł w końcu od tych decybeli i nadworny medyk musiał mu skonstruować specjalny słuchofon, aparat przypominający wyglądem trąbkę albo lejek. Bez słuchofonu Ponuras nie słyszał absolutnie nic.

Zobaczmy teraz, co dzieje się na ratuszu. Dotychczas była to siedziba Burmistrza, ale teraz mieszka tutaj król. Z okien ratusza widać armaty gotowe do strzału, bombardierzy czekają na znak... Oho, pierwsza armata wypaliła. Ale huk! Całe Miasteczko się zatrzęsło. A Ponuras siedzi na tronie w złotej koronie, słuchofon trzyma przy uchu i nasłuchuje:

– Pierwsza armata... druga armata... trzecia armata... Panowie, wybiła trzecia godzina! Czas zająć się działalnością artystyczną – zwraca się do Zauszników stojących wokół tronu.

Zauszników jest czterech. Cztery najważniejsze osoby po królu. Patrzą w niego jak w tęczę. Zginają się w ukłonach tak niskich, że uszami zamiatają podłogę. I jeden przez drugiego głośno chwala Ponurasa.

- Mądry jest nasz król!
- Wielki jest nasz król!
- Genialny jest nasz król!
- To on wpadł na pomysł, żeby czas odmierzały u nas armaty!
- Precz z zegarami, niech żyją armaty!
- Wiwat król Ponuras Pierwszy!

Masz ci los! Słuchofon się królowi zapodział! Odłożył go na chwilę i pochwały Zauszników przeleciały mu mimo uszu. Widzi, że ruszają ustami, ale co oni mówią?... I gdzie ten słuchofon, do stu par kartaczy...?!

No, wreszcie jest! Zaplątał się w fałdę płaszcza. Przyłożył król słuchofon do ucha.

Chórem odpowiadają. Nauczyli się na pamięć rymowanki napisanej przez króla i recytują jak jeden mąż:

– Kiedy słyszymy armatnie dźwięki, gdy ciszę huk wypłoszy, zimą i wiosną uszy nam rosna, uszy nam rosna z rozkoszy!

– I bardzo słusznie! – przytakuje król. – Zausznicy Wielkiego króla powinni mieć wielkie uszy. Żeby słuchać, żeby podsłuchiwać, żeby donosić... Osobnicy z małymi uszami nie nadają się na Zauszników Wielkiego króla.

– Ja mam największe! – pochwalił się zaraz Najgorliwszy.

Aż pozostali zaczęli psykać, żeby nie przeszkadzał. Ten kłapouchy nadgorliwiec zawsze z czymś takim wyskoczy.

– Więc co to ja chciałem powiedzieć? – zacukał się na moment Ponuras. – Aha, już wiem. Najpiękniejszym dźwiękiem jest huk armat. Dzięki armatom zdobędziemy władzę nad całym światem.

– Tak jest! – zastrzygli uszami Zausznicy. – Podbijemy cały świat! Zagarniemy skarby! Będziemy spali na złotych łóżkach! Będziemy jedli na brylantowych talerzach! Niewolnicy będą na nas pracować!

– I to jest właśnie to, o co nam chodzi – potwierdził król. – Im więcej armat, tym szybciej osiągniemy nasz cel. Cały kraj powinien myśleć wyłącznie o

armatach. Od dziecka trzeba to wszystkim wpajać. Oto moje najnowsze dzieło. Wiersz numer 1387 przeznaczony dla dzieci.

I wyciągnąwszy z kieszeni fałdzistego płaszcza rękopis, zaczął czytać:

– Nie da ci mama,  
nie da ci tata  
tego, co może  
dać ci armata.

– Bum – trata – tata,  
bum – trata – tata,  
bum – trata – tata!  
BUM!

– odpowiedzieli chórem Zausznicy.

A ponieważ pamiętali o tym, że wiersz przeznaczony jest dla dzieci, zaczęli się bawić w koci-łapki. Przy każdym „bum!” walili dłonią o dłoń tak głośno i gorliwie, aż im łapy popuchły.

Król potraktował to jak oklaski.

– Panowie, to jeszcze nie koniec – zwrócił im uwagę. – Przechodzimy do drugiej zwrotki.

Kochaj armatę  
bardziej niż tatę,  
bardziej niż mamę  
i siostrę z bratem.  
Bardziej niż swoją  
rodzinną chatę  
kochaj armatę.

– BUM! – huknęli jak jeden mąż Zausznicy.

– Bo jak nie zechcesz  
kochać armaty,

to król cię każe  
spisać na straty.

Spisze na straty,  
wsadzi za kraty,  
pośle w zaświaty, BUM!

– zakończył król czytanie.

– BUM! BUM! BUM! BUM! – przytaknęły królowi armaty za oknem. Cztery razy wystrzeliły, bo wybiła właśnie godzina czwarta.

Król przymknął oczy. Siedział z głową przechyloną w stronę okien, z lejkiem słuchofonu skierowanym w kierunku armat, żeby nie uronić ani jednego dźwięku z echa armatnich strzałów. Na twarzy miał wyraz takiej błogości, że Zausznicy wstrzymali oddech.

I nagle...

– Panowie, co ja słyszę? – wrzasnął król podskakując na tronie jak oparzony.

Zausznicy tak niespokojnie zastrzygli uszami, że aż firanki w oknach zafalowały. Dźwięki, które usłyszał król i które oni również słyszeli, nie pochodziły z armatnich luf. Były łagodne, śpiewne i chociaż szły z oddali, słyszeć je było zupełnie wyraźnie.

– Muzyka... – wyjaśnił królowi prosto w słuchofon Najgorliwszy.

– Pewnie jakaś zabawa... – ośmielił się wyjawic swoje przypuszczenie drugi.

– Zdaje mi się, że ptaki śpiewają... – zauważył trzeci.

A król na nich jak nie huknie:

– Kto śmie przeszkadzać moim armatom? Kto śmie zakłócać koncert pod batutą moich najlepszych bombardierów? Muzyka im w głowie! Bawić się chcą! A pracować to nie łaska?

Z tronu zeskoczył, czerwony się zrobił jak ćwikła, oczy mu wyszły na wierzch i jak nie złapie Najgorliwszego za uszy, jak nie zacznie szarpać.

– Nie dopilnowali! Nie przypilnowali! Uszy poobrywam! Ze skóry obedrę!  
Za co wam płacę?

I masz! – słuchofonem drugiego zausznika przez łeb. I bęc! – rąbnął  
trzeciego, aż zadudniło.

– Armaty robić! Żelazo wytapiać! Kule toczyć! Beczki prochem napełniać!  
Żadnej muzyki! Żadnych zabaw! Żadnego śpiewu kanarków!

## ROZDZIAŁ 8

### Piosenka Ptaszniczki

Nie wiemy dokładnie, skąd pochodziły dźwięki, które doprowadziły Ponurasa do takiej furii. Nie wiemy, jakie ptaki śpiewały i kto grał.

Może były to ptaki z ogrodu Andzi-Ptaszniczki? Może Babcia, Dziadek i wnuk koncertowali akurat na trąbie, wiolonczeli i flecie?

Ale równie dobrze mogły to być zupełnie inne ptaki i zupełnie inne instrumenty. Nie wszystkie ptaki mieszkały przecież w ogrodzie Ptaszniczki, a flet, trąba i wiolonczela nie były jedynymi instrumentami muzycznymi w Miasteczku. Prawie na wszystkich drzewach były ptasie gniazda, a muzyków i instrumentów było tyle, że starczyłoby na całą orkiestrę symfoniczną.

To prawda, że w pierwszych dniach po wkroczeniu armii Ponurasa prawie nikt nie sięgał po instrument. Życie w Miasteczku zacichło, przyczaiło się. Krążyły wieści o aresztowaniu Burmistrza, przestała wychodzić gazeta. Jednoosobowy nie budził nikogo swoim codziennym „Co słyhać?”. Ludzi ogarnął strach, bali się żołnierzy, armat. Nie w głowie im była muzyka.

Nawet ptaki nie śpiewały tak głośno jak zwykle.

Ale teraz? Minęło już trochę czasu, ludzie oswoili się z nową sytuacją, wrócili do swoich zajęć.

– Nie jest tak źle! – pocieszali się. – Żołnierze nie żądają niczego więcej poza jedzeniem, które kazali sobie dostarczać, nie plądrują domów, nawet do nich nie wchodzą.

Armaty odmierzają tylko godziny... Że przy okazji wyleciało parę szyb? Nie ma o czym mówić. Szklarz wstawił już na ich miejsce nowe, a okna pozabezpieczało się naklejając na nie paski papieru. Burmistrza na pewno zwolnią lada dzień, a bez gazety można się obejść.

No a tym, że zmieniono nazwę Miasteczka i przy okazji również nazwy wszystkich ulic, to już się absolutnie nikt nie przejmował. Wszyscy mówili po dawnemu – Miasteczko, nie – Ponurogród, i nazywali ulice imionami, do których od dawna przywykli – Różowa, Niebieska, Zielona, a nie – Bombowa, Prochowa i Kulowa, jak to sobie wymyślił Ponuras.

– To nie potrwa długo – mówili ludzie. – Nazwy są tymczasowe, a sytuacja przejściowa...

I Andzia zapisała w swoim pamiętniku:

Oni tylko przejdą przez nasze Miasteczko. Na razie się tutaj zatrzymali, ale pójdą dalej. Na tym właśnie polega ta przejściowa sytuacja.

Moje zmartwienia też były przejściowe. Już nie mam pryszczu na nosie, znikł nie wiadomo kiedy, a zbitym lustrem też się niepotrzebnie przejmowałam. Szklarz wstawił w starą ramkę nowe lustro, nawet jeszcze lepsze niż to, co było przedtem, i Mama wcale się nie gniewała.

A najważniejsze jest to, że się nie spełniła wróżba: zbite lustro wróży siedem lat nieszczęścia. Moje nieszczęścia nie trwały nawet siedmiu dni. Wczoraj spotkało mnie takie szczęście, o jakim nawet nie marzyłam.

JANEK NAPISAŁ NOWĄ PIOSENKĘ I TA PIOSENKA BRZMI TAK, JAKBY BYŁA O MNIE!!!

Może naprawdę myślał o mnie, kiedy ją pisał? Może podejrzwał przez płot, jak karmiłam ptaki w ogrodzie, i piosenka urodziła się z ziarenek, które rzucałam

ptakom? A może i jemu przyśnił się taki sen, jak mnie? Może piosenka jest dalszym ciągiem snu o śpiewających drzewach?

Słowa są takie:

Śpiewajcie, ćwierkajcie, ptaki skrzydlate,

lala-la-la!

Śpiewanie, ćwierkanie niech leci światem,

lala-la-la!

Niech leci, niech frunie z tych drzew wysokich,

lala-la-la!

Śpiewanie, ćwierkanie aż pod obłoki,

lala-la-la!

Wczoraj wieczorem usłyszałam tę piosenkę pierwszy raz. Od raz zapamiętałam. Nazwałam ją piosenką Ptaszniczki. Tu gdzie napisałam „lala-la-la”, nie było żadnych słów. Tylko muzyka fletu. Zupełnie jakby moja wilga śpiewała. Ale zdaje mi się, że to można przetłumaczyć na słowa. Bo w każdym „lala-la-la” usłyszałam zupełnie wyraźnie...

\*

Nie wiemy, na jakie słowa chciała przetłumaczyć Andzia muzykę fletu, brzmiącą jak śpiew wilgi. Ta strona pamiętnika nie została już nigdy dokończona.

Łomot werbla przerwał pisanie. Z ulicy dobiegł głos

– W imieniu króla Ponurasa Pierwszego zakazuje się grania i śpiewania. Wszystkie instrumenty muzyczne mają być oddane, wszystkie ptaki pozamykane. Kto będzie stawiał opór...

Furtka nie stawiała oporu. Nie była nawet zamknięta. Wpadli do ogrodu całą chmarą. Aż czarno zrobiło się od mundurów. Mieli drabiny. Klatki. Wyciągali ptaki z gniazd. Wpychali do klatek. Wilgę złapali pierwszą.

– Moje ptaki! – rzuciła się Andzia na ratunek. – Zostawcie moje ptaki! Moje ptaki nie zrobiły wam nic złego!



Krzyczała i ptaki krzyczały. Te złapane i te, którym udało się uciec. Krążyły nad ogrodem. Nad Andzią.

A z ulicy słyhać było werbel i głos:

– Ktokolwiek będzie stawiał opór...

## ROZDZIAŁ 9

### U sąsiadów

Kiedy do ogrodu Ptaszniczki wpadli zbrojni. Babcia wieszała akurat bieliznę na strychu, a Dziadek z Jankiem siedzieli w pokoju na piętrze i grali w szachy. No a jak Dziadek z Jankiem siadali nad szachownicą, to cały świat przestawał dla nich istnieć. Żadna siła nie mogła ich od szachownicy oderwać i nic do nich nie docierało.

Pochłonięci grą nie usłyszeli ani krzyku ptaków, ani łoskotu werbla, ani głosu za oknem:

– W imieniu króla Ponurasa Pierwszego zakazuje się grania i śpiewania. Wszystkie instrumenty będą skonfiskowane, wszystkie ptaki...

– Słyszałeś? – wpadła do pokoju Babcia. – Kaziu, słyszałeś? Instrumenty będą zabierać!

A oni nic. Dalej przesuwają figury na szachownicy. Głos Babci też do nich nie dotarł. Janek broni się. Dziadek atakuje.

– Jedzie, jedzie na koniku... – podśpiewuje pod nosem i hop!, przeskoczył białym szachowym koniem trzy pola, zabierając wnukowi czarnego pionka.

– Janek! – nachyliła się Babcia nad wnukiem. – Janek! – szarpnęła go za ramię.

Ręcznik, którego nie zdążyła powiesić na strychu, wysunął jej się z rąk. Spadł na Janka jak mokry kompres. Dopiero teraz oprzytomniał. Dopiero teraz wiadomość, z którą przybiegła Babcia, dotarła do jego świadomości.

Zerwał się z krzesła na równe nogi.

– Dziadku! Instrumenty będą zabierać!

A Dziadek patrzy w szachownicę i mruczy:

– Uważaj, żeby ci damy nie zabrał...

Więc Babcia do Dziadka:

– Kaziu, na litość boską, nie udawaj, że nie słyszałeś!

– Anielciu, na litość boską, nie wpadaj w panikę! – zezłościł się Dziadek. – Słyszałem, ale lekceważę. Bimbam sobie, rozumiesz! Całe życie siedziałem pod pantoflem, ale teraz koniec! Gwiżdżę na takie rozporządzenia! O tak gwiżdżę, tak, tak!

Złość poderwała go z fotela, schylił się nad szachownicą, spojrzął na czarne figury takim wzrokiem, jakby widział przed sobą Ponurasa i jego świtę, złapał oddech i jak nie gwizdnie: – Fiuuu!...

Fiu! – zleciał z szachownicy król, fiu! – poleciały wszystkie figury. Dziadek przemaszerował przez dywan jak przez pobojuwisko.

– A teraz proszę mi nie przeszkadzać – oznajmił sięgając po wiolonczelę. I zaczął grać.

Okno otwarte było na oścież, drzwi też, więc Janek podbiegł do okna. Babcia do drzwi...

– Andzia! – krzyknęła na cały głos. – Andziu, dziecko, co się stało?

W sieni, oparta o ścianę, stała Ptaszniczka. Sukienkę miała podartą, twarz zalaną łzami. Słowa przeciskały się przez łzy:

– Ratunku... moje ptaki... Nie wolno śpiewać... Grać... Chodzą po domach... Zabierają instrumenty...

– Wejdz! – wciągnęła ją Babcia do pokoju. – Janek, dawaj trąbę!

– Co Babcia? – zdziwił się Janek widząc, że Babcia wpycha trąbę pod pierzynę.

– Guzik dostaną, nie moją trąbę! Nie gap się! Dawaj flet! Prędko! Wiolonczelę pod kanapę! Kaziu, przestań grać! – sypały się z ust Babci rozkazy jeden po drugim.

– Jeszcze czego! Sam wiem, co mam robić, i nie potrzebuję dyrygenta! – odburknął Dziadek.

I grał dalej. A na ulicy przed domem słyhać już było tupot podkutych butów. Andzia podbiegła do Dziadka.

– Proszę pana! Niech pan nie gra! Oni już idą!

Babcia pchnęła Janka w stronę sieni.

– Na strych! – zakomenderowała krótko. – Andzia też. Siedźcie tam i ani mru-mru!

– A wy?... – zawahał się Janek.

Wypchnęła obydwójce na schody. Zamknęła za nimi drzwi.

– Kaziu! – złożyła błagalnie ręce przed Dziadkiem.

Bo Dziadek już teraz nie tylko grał, ale i śpiewał. Na cały głos. I jeszcze sobie nogą do taktu przytupywał.

Muzyka jest dobra na wszystko,  
bo lat ci ubywa, gdy zagrasz,  
i nie wiesz już, co to skleroza,  
reumatyzm, korzonki, podagra...

– Kaziu, na litość boską! – Babcia już prawie klęczała na dywanie.

– Spokojnie, moja duszko, spokojnie! – pogłaskał ją Dziadek smyczkiem po głowie. – I nie ucz mnie, co mam robić, bo sam wiem najlepiej...

Wtedy właśnie wpadli tamci. W czarnych mundurach. W czarnych hełmach. Kopniakiem otworzyli drzwi. Odepchnęli Babcie. Rzucili się na Dziadka.

– W imieniu króla Ponurasa! – wrzasnął oficer.

– Do diabła z Ponurasem! – krzyknął Dziadek nie wypuszczając wiolonczeli z rąk. – W nos mnie możecie pocałować! Jak przez pięćdziesiąt lat grałem na wiolonczeli, to przez następne pięćdziesiąt też będę grał! Niech żyje muzyka!

## ROZDZIAŁ 10

### Ptaki

Zabrali Dziadka. Zabrali wszystkich muzyków z Miasteczka. Piwnice pod ratuszem zamienili na więzienie. Zamurowali okna. Żelazną kratą odcięli wejście. Zamknęli na siedem zamków. Postawili Strażnika z kluczami.

Zausznicy wszystkiego dopilnowali. A potem poszli do króla.

– Rozkaz został wykonany!

Ponuras przyłożył sobie do ucha łyżkę, zapominając, że to nie słuchofon. Siedział akurat przy obiedzie i pałaszował trzecią porcję flaków z pulpetami. Na drugie danie zawsze jadł flaki z pulpetami. Była to jego ulubiona potrawa, ponieważ pulpety przypominały mu swoim wyglądem kule armatnie. Nawiasem mówiąc, były prawie tak samo twarde.

Ulubioną zupę Ponuras zdążył już zjeść. Był to barszcz z uszkami. Zostały po nim czerwone plamy na obrusie i jedno nie dojedzone uszko, na które Zausznicy woleli nie patrzeć. Zanadto kojarzyło im się z własnymi uszami...

Czym prędzej podsunęli królowi słuchofon.

– Rozkaz został wykonany! – powtórzyli chórem, a Najgorliwszy dodał jeszcze od siebie:

– Zaklinam się na własne uszy, że nic już nie zakłóci koncertu twoim armatom.

– To bardzo dobrze, panowie Zausznicy – pochwalił ich król. – Wasza gorliwość zostanie nagrodzona. Wasze zasługi przejdą do historii. Jeszcze dzisiaj napiszę na ten temat specjalny poemat.

– Nie zasługujemy na tyle względów! Wasza Wysokość jest zanadto łaskaw! Myśmy tylko spełnili swój obowiązek! – krygowali się Zausznicy.

– No, no, nie bądźcie tacy skromni. Początek poematu już mam – oznajmił król i kazał im powtórzyć chórem:

– O królu, królu, uszy nam rosną,  
kiedy słyszymy twe słowa.  
Zimą i wiosną uszy nam rosną  
i rośnie stopa życiowa.

– Genialne! – ucieszyli się Zausznicy. – Jesteś równie genialny jak szczodroblivy.

– Moja szczodroblivość jest znacznie większa, niż sobie wyobrażacie – oznajmił Ponuras. – Kiedy zagarniemy cały świat, natychmiast wydam rozkaz, aby w każdym mieście, obok mojego pomnika, postawiono pomniki królewskich Zauszników. I sam te pomniki zaprojektuję.

– Wielki!

– Wspaniały!

– Fenomenalny! – prześcigali się Zausznicy w komplementach.

Ponuras słuchał pochwał z ponurą lubością. Przez słuchofon oczywiście. A ponieważ na stół podano akurat deser – wielką salaterkę budyniu w sosie czekoladowym odłożył słuchofon i łyżką upačkaną czekoladą zaczął zaraz kreślić na obrusie szkice przyszłych pomników.

Zausznicy zastygli w niemym zachwycie. Czekoladowe mazaje na obrusie nie wyglądały co prawda apetycznie, ale oni mieli taki apetyt na pomniki, że przełykali tylko ślinę. Oczami wyobraźni widzieli już w każdym mieście, na każdym placu wielkie, monumentalne pomniki królewskich Zauszników. Cokoły, postumenty, obeliski z marmuru, z brązu, ze spiżu...

Już teraz wyglądali prawie tak jak te pomniki. Cokołów im co prawda brakowało, ale stali bez ruchu, żaden nawet nie drgnął, a nad głowami przelatywały im ptaki. Ba! – jeden nawet usiadł na łysinie Najgorliwszego i wrzasnął na cały głos:

– Precz z Ponurasem! Precz z Ponurasem! Precz!...

I Zausznicy od razu zlecieli z pomników. Sądny dzień się zrobił. Krzyk, wrzask, ćwierkanie, ptaki rzuciły się na budyń. Zausznicy na ptaki, Ponuras na Zauszników.

– Co? Skąd? Jak?

– P... p... przez okno wleciały... p... p... prawdopodobnie udało im się uciec – jękał się Najgorliwszy i usiłując nie dopuścić do tego, żeby gadający ptak, który przed chwilą siedział mu na głowie, znowu zaczął gadać, sam wpychał mu do dzioba kawałki budyniu.

Brzdęk! – wyrwał mu Ponuras salaterkę spod ręki. Chlup! – wylądował budyń na głowie Najgorliwszego.

A szpak Ptaszniczki, bo to on właśnie był tym gadającym ptakiem, wyrwał mu się z łap i wrzasnął królowi prosto do ucha:

– Precz z Ponurasem!

Tak wrzasnął, że Ponuras bez słuchofonu usłyszał.

## ROZDZIAŁ 11

### Najgorliwszy

Wszyscy Zausznicy mieszkali w ratuszu. Król chciał ich mieć zawsze pod ręką, więc przydzielił im pokoje na parterze. A Najgorliwszy dostał nawet pokój z kuchnią i z łazienką.

Mieszkał tu razem z żoną. Oczywiście było to lokum tymczasowe. W przyszłości wszyscy Zausznicy mieli otrzymać wspaniałe pałace, a Najgorliwszy obiecywał żonie, że ich pałac będzie najbardziej okazały.

– Marmury, glazury, obicia ze skóry, dywany, hebany, parkiety, tapety, serwety, kinkiety, a na ścianach tylko portrety, portrety, portrety – roztaczał przed nią wizję przyszłej siedziby.

A żona tylko wzdychała:

– O rety! O rety! O rety! – i patrzyła w niego jak w obrazek.

Tylko że tego dnia jej obrazek wyglądał raczej jak obraz nędzy i rozpaczy.

– Jak ty wyglądasz? – jęknęła, kiedy wrócił od Ponurasa.

Machnął ręką. Trząśł się jak budyń w salaterce. Nie udzielił jej żadnych wyjaśnień, kiedy ściągała z niego zapaćkane budyniem ubranie bez jednego rękawa, nie powiedział ani słowa, kiedy szykowała gorącą kąpiel, milczał, kiedy gąbką szorowała mu łysinę i wydłubywała z uszu resztki czekoladowego sosu.

Siedział w gorącej wodzie, a na całym ciele miał gęsią skórę i trząśł się, jakby mu było nie wiadomo jak zimno. Ze strachu tak się trząśł.



Na diabelskim młynie też tak kiedyś było. Panicznie bał się, że zleci, i nawet wtedy, kiedy diabelski młyn się zatrzymał, nie mógł opanować strachu.

To było dawno. Nie był jeszcze wtedy Wielkim Zausznikiem Wielkiego króla.

A teraz bał się jeszcze bardziej. W głowie miał kompletny młyn. Obrazy i słowa cwałowały jak zwariowane, nie wiedział, co było przedtem, co potem, nie mógł sobie przypomnieć kolejności wydarzeń.

– Budyń... pomniki... ptaki... król?

Gul-gul-gul – wlała mu żona do ust krople na uspokojenie.

Wypił i diabelski młyn zaczął się kręcić jakby trochę wolniej.

– Więc to było tak... – przypomniał sobie – król rzucił we mnie budyniem, oczy miałem zaklejone, nic nie widziałem, słyszałem tylko, że ptak wrzasnął: „Precz!”, a król:

„Pasy z was każę drzeć!”... A może to nie chodziło o nas, tylko o obrus? Może nie powiedział: „Pasy z was każę drzeć!”, tylko: „Pasy wam każę drzeć!”, bo moi koledzy podarli zaraz na pasy królewski obrus. To już widziałem. Połapali ptaki i paskami materiału zawiązali każdemu dziób na supeł. Ja poświęciłem na ten cel krawat i rękaw ubrania... Ale czy to wystarczy? Czy król doceni moją gorliwość? Mógł nie zauważyć, że ptak, który wzniósł przeciwko niemu okrzyk, siedział akurat na mojej głowie, ale widział, jak pchałem mu budyń do dzioba... To straszne! Karmić królewskim budyniem ptaka, który krzyczy: „Precz z królem!”... Król mi tego nigdy nie wybaczy. Bo co mu powiem? Że nie wiedziałem, co robię? Że straciłem w tym zamęcie głowę?... Brr! – lepiej nie podsuwać mu takich myśli. Jeszcze kata gotów zawołać. „Jak straciłeś głowę – powie – to już nic ci po niej. Królewscy Zausznicy powinni mieć głowy na karku”... I ciach! – toporem...

Zimno mu się zrobiło. Obraz, który ujrzał oczami wyobraźni, był tak straszny, że nie mógł się opanować. Obiema rękami złapał się za skronie i jęczał na cały głos:

– Oj, moja głowa... moja biedna głowa...

– Główka mężusia boli? – rozczuliła się żona. – Biedny, zmęczony, zapracowany... Zaraz sobie odpoczniesz, zaraz będzie herbatka. Żona zrobiła mężusiowi niespodziankę, sprawuneczek, nowy czajniczek zdobyła.

I bardzo z siebie zadowolona, wskazała czajnik stojący na kuchni.

– Zaraz się woda zagotuje, zaraz będzie herbatka...

Z dziobka czajnika wyleciał obłok pary i gwizd. Długie, przeciągłe: –  
Fiuuuuu!

– Rany kota, co to? – przeraził się Najgorliwszy.

– Czajniczek śpiewa. Żonusia kupiła mężusiowi czajniczek – wdzięczyła się Zausznikowa.

Mąż wyskoczył z wanny jak oparzony.

– Zwariowałaś? Nie wiesz, że ściany mają uszy? Z lewej Zausznik, z prawej Zausznik, nad nami król, nie wolno śpiewać, nie wolno grać, a ona kupuje czajnik z gwi...

Nie skończył słowa.

– Uważaj! – krzyknęła żona.

Ale już było za późno. Kiedy zdejmował czajnik z kuchni, pośliznął się i runął na podłogę oblewając się ukropem od stóp do głów.

## ROZDZIAŁ 12

### Medal Wielkiej Wagi

Dalsze wydarzenia na ratuszu miały przebieg zgoła nieoczekiwany. Nikt się tego nie spodziewał. Co prawda, po królu Ponurasie można się było spodziewać wszystkiego, ale po awanturze z ptakami Zausznicy spodziewali się raczej wszystkiego najgorszego – nagany, degradacji, utraty stanowiska, a nawet, jak przypuszczał Najgorliwszy, utraty głowy. Nie wywiązali się przecież ze swoich obowiązków, nie dopilnowali, żeby wszystkie ptaki zostały zamknięte w klatkach, niektórym udało się uciec i chociaż była to ucieczka prosto w paszczę lwa, lew wpadł w taką wściekłość, że lepiej nie wspominać.

Obrzydliwe ptaszyska! I żadnej pewności, żadnej gwarancji, że tym razem to już na pewno wszystkie zostały schwytane. Nawet z komnaty króla mógł się któryś wyśliznąć.

A inne? Drzew dookoła tyle... Co prawda gniazda zostały zniszczone, ale w drzewach są dziuple, nie wiadomo, czy gdzieś jakieś jajko nie zostało, ptak się z jajka wykluje i nieszczęście gotowe. Do miejscowej ludności nie można mieć zaufania. Nie doniosą na ratusz ani ptaka, ani wiadomości o ptaku. Jeszcze gotowi dać mu schronienie...

Tak myśleli Zausznicy i żaden nie spodziewał się, że zamiast kary spotka go nagroda.

„Łaska pańska na pstrym koniu jeździ” – powiedziałaaby pewnie Babcia, która lubiła cytować przysłowia, gdyby znalazła się teraz na ratuszu.

Ale oczywiście Babci na ratuszu nie było. W komnacie siedział tylko król na tronie, a przed królem stali Zausznicy. Wszystkich wezwał do siebie. Najgorliwszy też zwlókł się z łóżka. Ręce miał po tym oparzeniu na temblakach, głowę w bandażach, ale przyszedł.

Stanęli przed królem, król spojrzął, wziął do ręki pergamin i zaczął czytać. Wyjątkowo nie do rymu, tylko prozą:

– Bierzemy na świadków wszystkich obecnych, że nasz królewski majestat w niezmierzonej swojej dobroci postanowił nagrodzić wszystkich Zauszników specjalną pochwałą za walkę ze śpiewem, a najbardziej walecznemu ze wszystkich, temu, który w ogniu walki odniósł zaszczytne poparzenia trzeciego stopnia...

Najgorliwszy wyprężył tors. Król popatrzył na niego.

– ... temu, który w ogniu walki odniósł zaszczytne poparzenia trzeciego stopnia, nasz królewski majestat postanowił nadać metal... to jest, chciałem powiedzieć, Medal Wielkiej Wagi pierwszego stopnia – zająknął się król. — Panowie, podajcie Medal.

Medal był naprawdę metalem wielkiej wagi. Dwóch zbrojnych wniosło na poduszce dziesięciokilowy, żelazny odważnik z grubym łańcuchem. Król odłożył pergamin, zszedł z tronu i sapiąc z wysiłku zawiesił Medal na szyi Najgorliwszego.

Najgorliwszy ugiął się pod ciężarem.

– Niech ci ten Medal lekki będzie, moje dziecko – wysapał Ponuras ocierając chustką pot z czoła i łzy z oczu – wzruszyłem się. Pozwól, niech ci uściskę prawicę.

Uścisk był niesłychanie serdeczny. Zabandażowaną rękę Najgorliwszego przeszył przeraźliwy ból. Najgorliwszy jęknął i runął jak kłoda do stóp króla.

Zemdlał z wrażenia – skomentował król. – Nie przypuszczałem, że uścisk

mojej dłoni wyrze na nim tak wielkie wrażenie. Panowie, ocucicie go.

Zbrojni podnieśli Najgorliwszego. Podtrzymał go z obydwu stron.

– Aha, byłbym zapomniał... – wzrok króla prześliznął się po twarzach wszystkich Zauszników i zatrzymał się znowu na Najgorliwszym. – Ponieważ zarówno mnie, jak i panom zależy na tym, aby jak najprędzej zapanować nad światem, a do produkcji armat potrzebne jest żelazo, rozkazuję, aby wszyscy oddali na ten cel swoje garnki, klamki, moździerze, jak również inne metalowe przedmioty, i mam nadzieję, że pierwszym dobrowolnym ofiarodawcą będzie ten, na którego piersi wisi Medal Wielkiej Wagi. Dziesięć kilogramów, jakby nie było... Panowie, zabrać Medal!

Dziesięciokilogramowy odważnik znalazł się znowu na poduszce. Królewski głos załamał się ze wzruszenia.

– Dziękuję... – szepnął do Najgorliwszego i wyciągnąwszy ramiona, ścisnął mu tym razem obie dłonie.

## ROZDZIAŁ 13

### Szpak

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy na ratuszu odbywała się uroczystość nadania i odebrania Medalu Wielkiej Wagi, w pamiętniku Andzi pojawiła się wiadomość o wiele ważniejsza.

Szpak wrócił!... Wrócił mój szpak! Nie mam pojęcia, co się z nim działo – czy uciekł już wtedy, kiedy żołdacy urządzili polowanie na ptaki w moim ogrodzie, czy stało się to później, nie wiem, gdzie się błąkał i jakim cudem udało mu się wrócić do domu. Jest pokaleczony, słaby, stracił tyle piór...

Ale najważniejsze, że nie stracił wigoru. Dziób mu się nie zamyka. Na powitanie zawołał:

– Dzień dobry, Ptaszniczko! – A kiedy opatrywałam mu skaleczenia, krzyczał: – Precz z Ponurasem!

Aż przyłożyłam palec do ust i powiedziałam szeptem:

– Cicho, szpasiu... – bo się zlekłam, że tamci usłyszą. Co za mądrała! Od razu zrozumiał. Nauczył się mówić szeptem i przez cały czas powtarza sobie teraz:

– Cicho, szpasiu... Cicho, szpasiu...

Nie usłyszą go. Nie ma obawy. I nie znajdą, bo Janek znalazł dla niego świetną kryjówkę. Na strychu u Babci. W tym miejscu, gdzie myśmy się wtedy z Jankiem schowali.

Tam jest taki schowek, że się nawet parę osób może zmieścić. Wejście zamaskowane jest deskami. Kto nie wie, nigdy się nie domyśli. Babcia mówi, że

szpak powinien się tam czuć, jak u Pana Boga za piecem, bo tamtędy przechodzi akurat przewód kominowy.

Mój pamiętnik też tam schowam. Kiedy będę przynosiła Szpasiowi wodę i jedzenie, skorzystam z okazji i za każdym razem dopiszę coś nowego. Chciałabym, żeby były to wyłącznie dobre wiadomości...

Tu w pamiętniku Ptaszniczki nastąpiła przerwa. Z późniejszych dni zachowało się tylko jedno zdanie:

Zabrali Mamę...

Reszta słów rozplynęła się w nieczytelnych, atramentowych zaciekach. Może wylała się woda przyniesiona dla szpaka? Może strona była mokra od łez?

## ROZDZIAŁ 14

### U Babci

Szli od domu do domu.

– W imieniu króla Ponurasa... – czytali rozporządzenie – nakazuje się oddanie wszystkich metalowych przedmiotów.

Zabierali wszystko. Nawet klamki kazali odkręcać.

Mama Andzi nie chciała ich wpuścić. Wyłamali drzwi. Szamotała się. Broniła dobytku. Uderzyła któregoś patelnią. Wtedy właśnie zabrali Mameę.

To było wieczorem. Teraz jest noc. W splądrowanym domu nie ma nikogo. Andzia jest u sąsiadów.

– Będziesz spała u nas – powiedziała Babcia.

Ale na razie nikt się nie kładzie spać. Tutaj też mogą przyjść.

Babcia z Jankiem zeszła do piwnicy. Janek wykopał dół. Przynieśli z pokoju samowar, przynieśli srebrne sztućce, łyżki, noże, widelce, całą wyprawową zastawę Babci, mosiężne lichtarze, świeczniki z brązu, cynowe talerze, miedziany kocioł, móżdziej, rondle do smażenia konfitur.

Trzeba to wszystko pochować.

– Jeszcze patelnie! – przypomniała sobie Babcia.

– Jeszcze trąba – przypomina Janek, odbierając z rąk Babci patelnie owinięte w szmaty.



Janek układa wszystkie przedmioty w dole. Patelnie też włożył. Babcia przyświeca świeczką. Świeczka skwierczy, a Babcia pomstuje:

– Żeby ich pokręciło! Żeby im język zapleśniał! Żeby ich na tych patelniach, które zabrali ludziom, w piekle smażyli! Diabła prędzej zobaczą niż moje garnki!

– A trąba? – przypomina jeszcze raz Janek.

Na razie trzeba schować klamki. Andzia je przyniosła.

– Wszystkie poodkręcałaś?

– Wszystkie, proszę pani. Żeby ani jedna nie wpadła im w łapy.

– Dziękuję ci, moje dziecko – pogłaskała Babcia Andzię po warkoczach. – I wiesz co? Możesz mówić do mnie: babciu.

– Naprawdę? – ucieszyła się Andzia i raz-dwa cmoknęła Babcie w policzek.

– Naprawdę – przygarnęła ją Babcia do siebie. – Dziadek zawsze mówił, że przydałaby nam się wnuczka. Biedny Dziadek...

Babci zwilgotniały oczy. Sięgnęła do kieszeni fartucha po chustkę, podała Andzi świecę.

Wyszła.

Janek zacisnął pięści.

– Żebym ja był przy tym, jak Dziadka zabierali...

– Janek, przecież ciebie też by zabrali! – przestraszyła się Andzia.

– A jakby tak wszyscy? – nie ustępował Janek. – Całe miasteczko trzeba zebrać, wszystkich ludzi!

Andzia przestraszyła się jeszcze bardziej.

– Ludzie się boją. Zabrali śpiew, zabrali muzykę...

– I odwagę też zabrali?

Andzia nic nie odpowiedziała. A Janek mówił coraz głośniej, już nie mówił, już krzyczał:

– Ale tak nie można żyć! Nie można! Nie można!

– Cicho! Błagam cię, cicho!... – złapała go Andzia za rękę.

Wyrwał się. Wybiegł z piwnicy. Wpadł w ciemność schodów.

– Boisz się, że usłyszą? Ty też się boisz?... A właśnie że będę krzyczał!

Biegł schodami w górę i krzyczał, krzyczał coraz głośniejsze :

– Nienawidzę Ponurasa! Niech słyszą! Niech mnie zabiją! Nie chcę żyć jak niewolnik!

– I bardzo słusznie – usłyszała Andzia spokojny głos Babci.

Janek umilkł. Kiedy Andzia wyszła z piwnicy, Babcia stała w sieni i zdejmowała płaszcz z wieszaka. Janek, odwrócony plecami, stał przy ścianie i bębnił pięścią w boazerię.

– Bądź tak dobra i podaj mi kapelusz – zwróciła się Babcia do Andzi. – O tam leży, na półce. Nie sięgnę, bo za wysoko.

– A Babcia dokąd się wybiera? – odwrócił się Janek od ściany.

– Idziemy do króla – zakomenderowała Babcia. – Na powietrzu znacznie lepsza akustyka, więc to wszystko, co miałeś wykrzyczeć tu, wykrzyczysz pod komnatą Ponurasa. A my ci będziemy pomagały. Z akompaniamentem trąby, żeby Ponuras szybciej usłyszał. Andziu, podaj mi trąbę.

– Babciu, nie żartuj – spieszył się Janek.

– Wnuku, nie wystarczy mieć tu. Trzeba jeszcze mieć tu! – wskazała Babcia kolejno na usta i na głowę. – Więc jak, idziemy na ratusz?... Andziu, dajże mi wreszcie ten kapelusz!

– Ja nie pozwalam! – rzucił się Janek do drzwi. – Zabraniam !

Babcia przyklepała kapelusz na głowie.

– Tu trzeba mieć... Oczywiście, że wyprawa połączona jest z pewnym ryzykiem, ale pozwól mi wreszcie powiedzieć, po co chcę iść do króla. Nie bój się, nie po to, żeby krzyczeć. Mam pewien pomysł. Tylko ciiii...!

Przyłożyła palec do ust. Pociągnęła ich za sobą do kuchni. Sprawdziła, czy okna są dobrze zasłonięte. Zgasła świecę. Przez szpary w zasłonie przedzierały się pierwsze promienie świtu. Noc się kończyła.

Usiedli przy stole i Babcia, najcichszym z najcichszych szeptów, zaczęła ich wtajemniczać w swój plan...

– Babciu – przerwał w pewnej chwili Janek. – A jak nam się nie uda?

– Musi się udać! – uśmiechnęła się Babcia. – Od chwili kiedy zakochał się we mnie twój Dziadek, wierzę, że urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą. I nie sądzę, żeby to była nieprawda.

## ROZDZIAŁ 15

### Imieniny

Kiedy Zausznicy zameldowali królowi, że wszystkie metalowe przedmioty zostały mieszkańcom Miasteczka odebrane, król zwrócił im uwagę:

– Po pierwsze, nie odebrane, tylko dobrowolnie oddane, a po drugie, chciałbym wiedzieć, ile tego jest.

– Dużo! Mnóstwo! Cały stos! Cała sterta! Góra! – zapewniali z nadzieją, że król pochwali ich za dobrze spełniony obowiązek.

Ponuras pogroził im słuchofonem.

– Jak widzę, pojęcia miary i wagi są panom całkowicie obce. Nie uczyliśmy się w szkole rachunków, co?... Nie wiemy, że na pytanie „ile?” podaje się odpowiedź w cyfrach?

Wśród Zauszników zapanowała konsternacja. Żadnemu z nich nie wpadło do głowy, że zrabowane przedmioty trzeba policzyć i zważyć. No a ponieważ woleli się do tego nie przyznawać, na chybił trafił zaczęli rzucać liczbami i każdy podawał inną:

– 1275 sztuk!... 930 kilogramów!... 24 tony!... 50 metrów sześciennych!

– I trzech bałwanów! – podsumował Ponuras, bo Zauszników było akurat trzech. Czwarty, Najgorliwszy, miał zwolnienie od nadwornego medyka. Leżał w łóżku i kurował się po oparzeniach i odznaczeniach.

Zausznicy zamilkli. Uszy mieli czerwone jak buraki. Król przyłapał ich na kłamstwie i to kłamstwo mogło ich drogo kosztować.

Ale Ponuras był tego dnia w wyjątkowo dobrym humorze. Pogroził im tylko jeszcze raz słuchofonem i rozkazał, żeby przynieśli wagę.

– Sam skontroluję, ile tego jest – oznajmił. Zrabowane przedmioty leżały na parterze w przedsionku ratusza. Zausznicy ustawili się w sztafetę, podawali je jeden drugiemu z rąk do rąk, król ważył skrupulatnie wszystkie garnki, patelnie, moździerze, kotły, klamki i misy, ołów i żelazo, cynę, brąz i mosiądz rad, że te wszystkie metale przetopi się na armaty i kule.

I właśnie wtedy, kiedy zajęci byli ważeniem, zakołatała kołatka przy ratuszowej bramie. Usłyszał ją tylko ten, który stał na parterze. A ponieważ bramy bez królewskiego rozkazu nie wolno było otwierać, nie ruszył się z miejsca, tylko podając następnemu ze sztafety żelazny garnek, podał mu jednocześnie wiadomość:

– Pukają do bramy, podaj dalej.

– Pukają do bramy...

– Pukają do bramy – powędrowała wiadomość schodami w górę.

– Co? – nie dosłyszał król, bo zajęty ważeniem odłożył słuchofon.

– Pukają do bramy – powtórzył ostatni ze sztafety.

– Kto? – zapytał król.

Odpowiedź nadeszła tą samą drogą.

– Kobieta, dziewczyna i chłopak. Czy można ich wpuścić?

– Ja bym nie wpuszczał... – ośmielił się zauważyć ten, który stał najbliżej króla.

– Wpuścić zawsze można... – odezwał się drugi.

– Najpierw można wpuścić, a potem nie wypuścić! – podszeptał trzeci.

– A czego oni chcą? – zaniepokoił się Ponuras.

– Proszą o audiencję, ponieważ chcą ci złożyć życzenia imieninowe i mają dla ciebie prezent.

– Ależ królu, przecież dzisiaj nie jest dzień twoich imienin – zdziwił się stojący najbliżej króla.

– Nie? – spojrzał na niego król. – Nie? – uderzył go pięścią w brzuch. – Więc panowie ośmielają się twierdzić, że dzisiaj nie jest dzień moich imienin? Więc wy, Królewscy Zausznicy, wy, którym na moim żołdzie rosą nie tylko uszy, ale i brzuchy, nie wiecie, że król ma prawo obchodzić imieniny codziennie?

– Ależ tak! Codziennie! Naturalnie, że codziennie! Jak mogliśmy o tym zapomnieć? – dygali jeden przez drugiego. – Ile dni w roku, tyle razy król obchodzi imieniny. Wszystkiego najlepszego! Zdrowia, szczęścia, pomyślności!

Król nawet na nich nie spojrzał. Zasiadł na tronie, poprawił przekrzywioną koronę, przyłożył słuchofon do ucha i oznajmił:

– Otworzyć bramę. Jestem gotów do przyjęcia życzeń i prezentów. A panowie będą łaskawi stąd wyjść.

Zausznicy wycofali się w milczeniu.

## ROZDZIAŁ 16

### Prezent

Do sali wszedł olbrzymi bukiet kwiatów na sześciu nogach. Tak to właśnie od strony króla wyglądało. Nie było widać osób niosących bukiet, tylko ich nogi – dwie damskie nogi w pantoflach na obcasach, dwie dziewczęce w białych skarpetkach i dwie w granatowych spodniach.

Bukiet zbliżył się do tronu. Nogi zatrzymały się. Ponuras spostrzegł, że łodygi kwiatów umieszczone są w czymś, co przypomina kształtem róg obfitości opakowany w gruby papier.

Kiedy bukiet stanął, spoza kwiatów wychyliły się jednocześnie dwie głowy. Z lewej – główka panienki z warkoczami, z prawej – głowa w kapeluszu z piórkami.

Właścicielka kapelusza patrzyła w Ponurasa jak w tęczę.

– W imieniu własnym, jak również mojej wnuczki, wnuka i reszty rodziny składam najserdeczniejsze życzenia imieninowe... Andziu, ukłoń się.

Nogi w białych skarpetkach dygnęły.

– Wstałam rano, raniuteńko,  
ubrałam się czyściuteńko,  
usłyszałam głos armaty  
i przyniosłam ci te kwiaty

– wyrecytowała jednym tchem Andzia.

– Brawo! Brawo! Jaki miłutki wierszyk! Co za urocze rymy! – ucieszył się Ponuras.

– Teraz on – Babcia wypchnęła Janka do przodu. – On jest bardzo nieśmiały. Król wybaczy, ale to wyjątkowo zdolne dziecko. Do techniki ma taki talent. A już za armatami to po prostu przepada... I otóż właśnie ten mój wnuk, na cześć naszego wielkiego, wspaniałego, tu oto na tronie siedzącego solenizanta dzisiejszego, skonstruował model nowego działła armatniego.

– Gdzie jest ten model? – zainteresował się Ponuras.

Babcia postawiła pakunek na stole.

– Model jest tu. Kwiaty umieściliśmy w lufie.

Spod papierów błysnął żółty metal. Ponurasowi zaświeciły się oczy.

– Złoto?

– Model na wagę złota – uśmiechnęła się Babcia ściągając opakowanie.

Oczom Ponurasa ukazał się przedmiot wyglądający jak trąba na kółkach.

Kółka były z dzieciennego wózka, a trąba była oczywiście tą samą trąbą, na której Babcia grała od lat, ale o tym wiedzieli tylko Babcia, Andzia i Janek.

– Hmm – chrząknął Ponuras – ten model...

– Przypomina trąbę, prawda? – uprzedziła go szybko Babcia. – Bardzo słuszna uwaga! Bardzo słuszna! Ale Wasza Wysokość ma oko no, no... Nic się przed tym wzrokiem nie ukryje. Mój wnuk, przy konstrukcji modelu armaty, posłużył się rzeczywiście trąbą przeznaczoną na złom, ale cel uświęca środki.

– Cel, pal! – przypomniał sobie Ponuras komendę wydawaną bombardierom.

– Tak jest – ukłoniła się Babcia. – Cel, pal uświęca środki... A teraz wyjmemy kwiaty z lufy i mój wnuk objaśni Waszej Wysokości szczegóły techniczne swego wynalazku.

– Przepraszam – dygnęła Andzia – czy mogę iść po wodę do kwiatków?

Ponuras niecierpliwie machnął ręką. Kwiaty niewiele go obchodziły. Poprawił słuchofon przy uchu i czekał na objaśnienia.

Andzia wyszła, a Janek, stanąwszy przy stole, zaczął tłumaczyć:



– Jak wiemy, normalna lufa armatnia składa się z wlotu, przelotu i wylotu umieszczonych w linii prostej. I otóż właśnie chodzi o tę linię prostą. Zademonstruję to na przykładzie rzutu kulą. Kulę poproszę...

– Weź odważnik – zaproponowała Babcia.

Ponuras wykazywał coraz większe zainteresowanie.

Janek zdjął z wagi stojącej obok tronu okrągły, żelazny odważnik i ruchem, jakim gra się w kręgle, cisnął odważnik prosto przed siebie. Bęc! – gruchnął odważnik na podłogę. Niedaleko poleciał.

Janek spojrzał na Ponurasa.

– Oto jest dowód, że kula rzucona w linii prostej zatrzymuje się stosunkowo blisko.

– Blisko! – potwierdził król.

– Natomiast wprowadzona w ruch wirowy... – zawirował Janek z odważnikiem na środku komnaty.

Brzdęk! – wyleciała szyba z okna.

– Ale daleko! – ucieszył się Ponuras.

– Otóż to – przytaknął Janek podchodząc do stołu, na którym stała trąba – kula, proszę króla, wprowadzona w ruch wirowy leci na znacznie większą odległość. I dlatego właśnie mój model armaty zaopatrzony jest w lufę o kształcie wieloskrętnym. Kula kręci się, kręci, nabiera rozpędu...

– I łubudu, jak nie łupnie! I łubudu we wroga! – łupnęła Babcia pięścią w królewski tron. – Genialne, co? Proste, ale genialne! Oczywiście jest to dopiero model, idea wynalazku, że tak powiem. Wnuk jest młody, teorię trzeba podbudować praktyką, przydałaby się jakaś pracownia, fundusze, w domu nie mamy warunków...

– W domu wykluczone – przerwał Babci Ponuras. – Nikt nie może dowiedzieć się o nowym wynalazku.

– Toteż nikomu o tym nie mówiliśmy. Król jest pierwszy – zapewnił Janek.

– Pierwszy i ostatni... – zagalopowała się Babcia, ale Ponuras na szczęście nie dosłyszał.

– Pracownię zorganizuje się tu – oznajmił. – Jak najprędzej chcę zobaczyć działo wykonane według tego modelu. Mianuję cię królewskim konstruktorem armat i zaraz wydam rozkaz moim Zausznikom, aby dostarczyli potrzebne materiały.

– Pomocnicy też będą potrzebni – wtrąciła Babcia.

– I jeśli można, chciałbym ich wybrać osobiście – poprosił Janek.

Król skinął głową.

– Niczego nie zabraniam. Ty i twoja rodzina jesteście pod moją opieką. Czujcie się jak u siebie w domu.

## ROZDZIAŁ 17

### Operacja „Trąba”

– Jak na razie operacja „Trąba” przebiega bez zakłóceń – powiedziała Babcia do Andzi i Janka, kiedy zostali nareszcie sami.

Ponuras kazał naszykować dla nich najlepszą komnatę, żona Najgorliwszego przyniosła im kolację ze swojej kuchni, a teraz była noc, król i Zausznicy spali, a oni siedzieli przy stole i punkt po punkcie przypominali sobie wszystkie wydarzenia minionego dnia.

– Udało się! – zatarł ręce Janek.

– Udało się! – uśmiechnęła się Andzia.

– Nie mów: hop!, póki nie przeskoczysz – przypomniała im Babcia przysłowie. – Jak dotychczas działamy zgodnie z planem, ale to dopiero początek.

– Punkt pierwszy – Janek podniósł kciuk do góry – dostać się do obozu wroga. Zadanie wykonane na piątkę. Myślałem, że pękne ze śmiechu, jak mówiłem o tym rewelacyjnym wynalazku. Kula kręci się, kręci, nabiera rozpędu... Aleśmy nabrali Ponurasa!

– Ciiii... – zmitygowała go Babcia. – Przypominam ci, że ściany mają uszy.

– Punkt drugi... – ściszył głos Janek.

– Odnaleźć Dziadka – dopowiedziała Babcia i oboje spojrzeli na Andzię.

– Pod pozorem szukania wody do kwiatów spenetrowałam cały ratusz. Oto jego plan – Andzia położyła na stole kartkę z narysowanym planem. – Więźniów trzymają w piwnicach. Tu jest wejście do lochów, tutaj stoi Strażnik...

– Ponuras ułatwił nam zadanie – uśmiechnęła się Babcia. – Nasz młody wynalazca sam ma prawo wybrać sobie pomocnika. Nie wątpię, że najlepszym pomocnikiem...

– Będzie oczywiście Dziadek! – dokończyła rozpoczęte przez Babcie zdanie Andzia.

Janek podniósł się z krzesła.

– Czekaj! – powstrzymała go Babcia. – Pamiętaj, że pomoc Dziadka będzie nam potrzebna dopiero w ostatniej chwili. Gdyby twój Dziadek teraz wkroczył do akcji, mogłyby zajść nieprzewidziane komplikacje.

– Dziadek okropnie nie lubi, jak Babcia rozkazuje... – szepnął Janek do Andzi.

– Zwracam ci uwagę, że tutaj tylko król jest głuchy. Ja, chwała Bogu, nie – przywołała go Babcia do porządku. – Więc tak, królowi trzeba uniemożliwić kontakt z Zausznikami, to raz...

– Raz, dwa, trzy, cztery – policzył Janek na palcach. – Uszatyh jest czterech i wszystkich czterech trzeba zamknąć.

– Trzech – sprostowała Babcia – czwarty już się nie liczy. Leży jak kłoda, nawet palcem nie może kiwnąć, a z tego, co mówiła jego żona, wywnioskowałam, że oni obydwójce mają już Ponurasa powyżej uszu.

– I powyżej dziurek od nosa – dodała Andzia. – Kiedy robiłam plan ratusza, słyszałam przez drzwi, jak ona tak właśnie powiedziała: „Mam tego wszystkiego powyżej dziurek od nosa i albo ty zmienisz posadę, albo ja męża”.

– No, a ponieważ nasza Babcia jest przeciwniczką rozwodów – uśmiechnął się Janek – nie ma innej rady, tylko trzeba uszatemu dopomóc w zmianie posady.

Babcia spojrzała na Andzię.

– Najpierw zajmiemy się królem. Król jest głuchy, słyszy tylko wtedy, kiedy ma przy uchu słuchofon...

– Trzeba mu zabrać słuchofon, żeby nic nie słyszał – przytaknęła Andzia i pokazując na planie miejsce, w którym znajdowała się królewska sypialnia, oświadczyła, że zaraz tam pójdzie.

– Sama? Mowy nie ma! – zachnął się Janek. – Albo pójdiesz ze mną, albo wcale!

– To ładnie, że jesteś dżentelmenem – pochwaliła go Babcia – ale przypominam ci, że szefem operacji „Trąba” jestem ja. Ty pójdiesz do Dziadka. Weź lampę, żebyś po drodze nie zabłądził.

I podając mu naftową lampę, która stała na stole, dodała:

– A do sypialni Ponurasa Andzia pójdzie ze mną.

## ROZDZIAŁ 18

### Wyprawa po słuchofon

Sypialnia króla mieściła się na pierwszym piętrze. W dzień droga do niej nie była długa. Andzia wyliczyła wszystko skrupulatnie. Dziesięć kroków ratuszową sienią do klatki schodowej, dwadzieścia pięć stopni w górę, trzydzieści kroków korytarzem wzdłuż sali, w której stał królewski tron, i zaraz za tą salą drzwi do komnaty, która była królewską rozbieralnią, ubieralnią i sypialnią. Od strony sali tronowej też tam można było wejść, komnata miała dwa wejścia, ale droga przez korytarz była prostsza i krótsza.

W dzień oczywiście. Bo w ciemnościach nocy dłużyła się niemiłosiernie. Po schodach trzeba było iść ostrożnie, noga za nogą, trzymając się poręczy i sprawdzając każdy kolejny stopień, posadzka w korytarzu skrzypiała, kolumny podtrzymujące sklepienie rozrosły się w czarny las...

– Och! – złapała w pewnej chwili Andzia Babcie za rękę. Coś miękkiego otarło jej się o nogi, przemknęło korytarzem.

– Szczur?...

– Kot – odpowiedziała Babcia szeptem.

– Czarny... Czarny źle wróży – przestraszyła się Andzia, ale Babcia zaraz ją uspokoila.

– Nie przejmuj się. W nocy wszystkie koty są czarne.

– Mrrrau... – dobiegło z korytarza kocie miauknięcie.

– Chrr-chy... chrrr-chy... – zawtórowało mu spoza drzwi sypialni głośne chrapanie.

– Śpi – ucieszyła się Babcia.

„Chrapie, jakby piłowali zardzewiałą rurę” – pomyślała Andzia, naciskając klamkę.

Drzwi otworzyły się. Ciemność została na korytarzu. Tu było prawie zupełnie jasno. Księżyc wszedł przez okno. Jednocześnie tak weszli. Andzia z Babcią przez drzwi z jednej strony, a księżyc z drugiej. I spotkali się na środku sypialni przy łóżku Ponurasa.

Bo łóżko stało na środku. Wielkie. Z baldachimem, z firankami po bokach. I trzęsło się od chrapania.

Babcia odchyliła firankę.

Ponuras leżał na wznak pod pękatą pierzyną, usta miał otwarte, oczy zamknięte, na głowie flanelową czapkę z pomponem...

Słuchofonu nie było widać.

– Może tu? – spojrzała Babcia na fotel stojący obok łóżka.

Ale na fotelu leżała tylko korona.

– Może tu? – przesunęła Andzia ręką po stoliku stojącym z drugiej strony łóżka.

Brzdęk! – zleciała ze stolika szklanka. Brzdęk! – zadzwoniło rozbite szkło.

– Cel, pal! – wrzasnął Ponuras siadając na łóżku.

Andzia zamarła.

„Obudził się! Wstaje! Wszystko na nic! Przeze mnie! Janek mi tego nigdy nie wybaczy!” – myślała przerażona.

Buch! – opadł z powrotem na poduszki Ponuras. – Chrrr... – zachrapał.

Andzia nie wierzyła własnym oczom i uszom.

„Więc nie obudził się...? Śpi! Oczy ma zamknięte. Śpi i bełkocze przez sen.”

– Milion pierwsza armata... milion druga armata... milion trzecia armata...

– Przyjemniaczek, co? Armaty mu się śnią – trąciła Babcia Andzię w ramię. – Zamiast baranów zaczął pewnie przed zaśnięciem liczyć armaty i dojechał aż do miliona.

– Bum! Bum! Łubudu! – wybełkotał Ponuras przewracając się na drugi bok.

„Może słuchofon jest pod jego głową?” – pomyślała Andzia i bardzo ostrożnie wsunęła rękę pod poduszkę.

– Jest? – ucieszyła się Babcia.

– Jest! – odskoczyła Andzia od łóżka ze słuchofonem w ręku.

Ale zaraz coś sobie pomyślała, schyliła się, wyciągnęła spod łóżka rozdeptany kapeć i wsunęła go tam, gdzie przed chwilą leżał słuchofon.

Babcia spojrzała na nią z uznaniem.



## ROZDZIAŁ 19

### Janek w akcji

W czasie kiedy Babcia z Andzią penetrowały sypialnię Ponurasa, Janek zszedł do lochów i nie zatrzymywany przez nikogo dotarł aż do żelaznej kraty zamkniętej na siedem zamków.

Przyświecając sobie lampą rozejrzał się, szukając Strażnika. Ale Strażnika nie było tam, gdzie powinien być. Zamiast pilnować wejścia spał kamiennym snem na kamiennej ławie stojącej w niszy piwnicznego korytarza. Klucze miał przywiązane do pasa.

– Hej, ty! – szarpnął Janek za klucze. – Zdaje mi się, że Strażnik powinien stać na straży, a nie spać na straży.

– Tak jest! – stuknął obcasami Strażnik, a zorientowawszy się, że uczynił to w pozycji leżącej, przestraszył się i zerwał się z ławy tak gwałtownie, że głową huknął w sklepienie niszy.

– No widzisz? Stuknąłeś się w głowę i zaraz nabrałeś rozumu – zauważył Janek lustrując go spojrzeniem od stóp do głowy. – Stoisz na baczność i czekasz na rozkaz.

– Tak jest! – łypnął oczami wystraszony Strażnik spędzając z powiek resztki snu.

– No to otwieraj kratę!

Strażnik zawahał się. Dotychczas rozkazy wydawali mu tylko królewscy Zausznicy. Znał ich i znał na pamięć regulamin. Janka nie znał, a w służbowym

regulaminie nie było żadnej instrukcji, jak zachować się w sytuacji takiej jak teraz.

– Otwieraj! – zniecierpliwiał się Janek. – Jestem królewskim konstruktorem armat. Król wydał rozkaz Zausznikom, żebym miał wszystko, co potrzeba. Potrzebuję pomocnika i przyszedłem sobie wybrać jednego z tych, którzy tam siedzą.

– Tak jest... – podrapał się w głowę Strażnik i jęknął z bólu. Guza pod włosami namacał.

„Ciężka służba. Nie dość, że mam głowę nabitą myślami, to jeszcze guza sobie nabiłem przy wstawaniu” – poskarżył się sam sobie w duchu, a głośno powiedział: – Panowie Zausznicy nic nie mówili...

– Nie powtórzyli ci rozkazu i poszli spać? To skandal! – tupnął Janek nogą. – Jeśli natychmiast nie obudzisz Zauszników i nie sprowadzisz ich tutaj, obudzę króla i nie odpowiadam za to, co stanie się z twoją głową!

Strażnik już na nic nie czekał. Wybiegł z lochu dzwoniąc zębami i kluczami.

Janek zbliżył się do kraty. Naftowa lampa oświetlała tylko część piwnicznego korytarza. Dalej była ciemność. Spojrzał w tę ciemność i zagwizdał melodię, którą tyle razy grali razem z Dziadkiem. Pierwsze takty piosenki zaczynającej się od słów: „Moja Babcia gra na trąbie”. Z głębi lochu wynurzyła się przygarbiona postać.

– Janek? Własnym oczom nie wierzę... Jasiu, co się tutaj dzieje?

Janek przywarł całym ciałem do kraty. Mówił szeptem, prędko, spodziewając się, że lada chwila wróci Strażnik:

– O nic nie pytaj. Nie ma czasu. Obudź wszystkich ludzi. Kiedy Strażnik otworzy kratę, zrobicie tak...

Jeszcze bardziej ściszył głos. Instrukcje, które podawał, przeznaczone były tylko dla Dziadka.

A na schodach prowadzących do lochu słyhać już było brzęk kluczy i kroki nadchodzących.

## ROZDZIAŁ 20

### Dalszy ciąg operacji „Trąba”

Strażnik wrócił razem z Zausznikami. Wskoczyli z łóżek w piżamach i biegli, aż im kapcie spadały z nóg. Tylko Najgorliwszy został u siebie. Miał zwolnienie od nadwornego medyka i koledzy bardzo mu teraz tego zazdrościli.

– Oj, nieładnie, panowie Zausznicy, nieładnie. Ja pracuję, a panowie w łóżeczkach – przywitał ich Janek.

– Proszę się nie gniewać...

– Nie zdążyliśmy powtórzyć rozkazu...

– Myśleliśmy, że zacznie pan pracę dopiero od jutra – tłumaczyli się jeden przez drugiego i zapewniali:

– Ale skoro pan pracuje, to my oczywiście też!

– O każdej porze jesteśmy do dyspozycji!

– Bardzo dobrze, że pan nas obudził!

– Pewnie, że dobrze... – mruknął Janek i zwracając się do Strażnika, rzucił krótki rozkaz: – Otwieraj!

Strażnik podszedł do kraty. Siedem kluczy zazgrzytało w siedmiu zamkach. Janek pociągnął żelazne wrota. Otworzyły się na całą szerokość. I nagle...

– TRA-TA-TA-TA! TRA-TA-TA-TA! – zagrzmiała trąba.

Mury lochów zatrzęsły się. Z ciemności wyskoczył tłum postaci. Dziadek pierwszy. Nad głową trzymał wiolonczelę i krzyczał na cały głos: – Brać ich! Łapać! Za kraty!

Zausznicy rzucili się do ucieczki. Ale już nie było odwrotu. Ze schodów schodziła Babcia z trąbą i Andzia, a od strony krat nacierał tłum. Zakotłowało się. Pięści podniosły się do ciosów.

– A masz! A masz! – wyrwała się z tłumy Mama Andzi. Zdjęła pantofel i młóciła najbliższego stojącego. – Za moją krzywdę!

– Za kominy bez garnków!

– Za domy bez klamek! – wtórowali inni.

– Za świat bez muzyki! – wrzasnął Dziadek i spostrzegłszy Babcie, rzucił się do niej torując sobie drogę wiolonczelą. – Anielciu! Kochana! Cały czas myślałem o tobie!

– Kaziu, na litość boską, odłóż te czułości na później! – huknęła Babcia z wysokości schodów i widząc, że Janek szamoce się ze Strażnikiem, pchnęła Dziadka na pomoc zagrzewając go okrzykami do walki: – Dalej go! Ciach go smyczkiem! Wiolonczelą popraw!

I Strażnik podzielił zaraz los Zauszników. Bo tamci byli już za kratami. W bezsilnej złości trzęśli metalowymi prętami i patrząc, jak Janek zamyka siedem zamków na siedem kluczy, krzyczeli płaczliwie:

– Zdrada! Zdrada! Ratunku, królu Ponurasie! To on! On jest przywódcą tej bandy!

– A kuku! – roześmiała się Andzia, machając Zausznikom przed nosem słuchofonem zabranym z królewskiej sypialni. – Król i tak was nie usłyszy!

A Janek, wskazując gestem Babcie stojącą na schodach, wyjaśnił:

– Panowie Zausznicy mają o mnie stanowczo zbyt wysokie mniemanie. Szefem operacji „Trąba” nie jestem, niestety, ja. Główną bohaterką dzisiejszych wydarzeń jest ta oto skromna, starsza pani...

– Tylko nie starsza! – zgromiła go publicznie Babcia. – Jestem wprawdzie twoją babką, ale zapamiętaj sobie raz na zawsze, że starszą panią nie będę, nawet kiedy zostanę prababką. A teraz – za mną, dzieci! Operacja „Trąba” nie skończona. Moja trąba nie wytrąbiła jeszcze króla.

## ROZDZIAŁ 21

### Z pierwszej ręki

Ponieważ wytrąbienie Ponurasa jest faktem historycznym, a historia – nauczycielka życia, uczy nas, że fakty historyczne najlepiej poznawać z pierwszej ręki, zobaczmy, jak opisała ten fakt osoba, która była naocznym świadkiem owych historycznych wydarzeń.

Zajrzyjmy do pamiętnika Ptaszniczki. Jej relacja będzie najbardziej wiarygodna. Wiadomości pochodzą naprawdę z pierwszej ręki. I to w dodatku z prawej. Z tej, w której Andzia-Ptaszniczka trzymała pióro.

Zapisuję wszystko na gorąco. To znaczy – od razu. Tego samego dnia. Babcia tak mi poradziła. Babcia już wie, że piszę pamiętnik. Powiedziała:

– Zapisz wszystko na gorąco, póki słowa nie ostygną.

Nie ma obawy! Te słowa mają taką temperaturę, że atrament w kałamarzu bulgoce.

Więc było tak: tamci zostali za kratą. Wetknęli głowy między pręty i tak już zostali. Jak w kleszczach. Oni po jednej stronie, a głowy po drugiej. Uszy mieli za duże.

A myśmy ruszyli do króla. Wszyscy. Cały pochód. Nie, źle napisałam, pochód pochodzi od chodzenia, a to było prędko. Biegiem.

Babcia z trąbą pierwsza. Pędziła po schodach, aż trudno było nadażyć. Jakby leciała na trąbie. Tak to wyglądało. Było widać, bo noc już się kończyła. A jak Babcia stanęła na piętrze, to jakby słońce zajaśniało, taki blask bił od trąby.

Do sypialni Ponurasa weszliśmy przez salę tronową. Tam gdzie stała waga, na której ważył pozabierane ludziom rzeczy. Moja Mama zaraz wypatrzyła swoją patelnię. Inni też połapali, co było pod ręką.

A niektórzy muzycy mieli instrumenty. Z lochu wynieśli, tak jak Dziadek wiolonczelę.

I przyłączyli się do Babci. Bo Babcia zaczęła grać na trąbie. Od razu. Jak tylko przeszła przez próg sypialni. A moja Mama waliła w patelnię. Huk był, że wszystko się trzęsło.

Ponuras siedział na łóżku. Wyglądał jak ostatni pajac. Minę miał okropnie głupią i przykładał kapeć do ucha. Oczy wytrzeszczone, gęba rozdziawiona, flanelowa czapka z pomponem przekrzywiona i ten kapeć zamiast słuchofonu.

No a jak Babcia podeszła bliżej...

Jejku, co się działo! Ponuras – hyc! pod pierzynę, łóżko się trzęsie, pierzyna podskakuje, a Babcia jeszcze bliżej i – jak nie dmuchnie!

Fiuuu!... – jednym dmuchem wydmuchała wszystkie pióra z pierzyny i wytrąbiła Ponurasa z Miasteczka.

Wyleciał w jednej koszuli. Pióra się potem pozbierało, a co się stało z Ponurasem – nie wiadomo. Przepadł bez śladu.

Aha, i jeszcze coś bardzo ważnego – wypuściłam wszystkie ptaki z klatek! Wróciły do swoich gniazd. Moja wilga też jest.

Nad Miasteczkiem świeci słońce wolności!

Tu w pamiętniku Andzi narysowane jest słońce, a pod rysunkiem kilka zdań dopisanych innym charakterem pisma. Ich treść nasuwa przypuszczenie, że autorem jest Janek:

Nie wiercie tym, którzy będą mówili, że Ponurasa zmiótł wiatr historii albo że była to trąba powietrzna. Ponurasa wytrąbiła Babcia, a trąba była z mosiądzu. Jak Babcię kocham!

Nad tym ostatnim zdaniem jest jeszcze drugi dopisek. Przypuszczalnie pochodzący z późniejszych czasów, bo charakter pisma ten sam, ale jakby doroślejszy:

Jak Babcię i Andzię kocham!



## ROZDZIAŁ 22

### Od A do Ż

Hej! Czy nie wydaje Wam się, że zapędziliśmy się trochę za daleko? Jednym słowem, wyczytanym z pamiętnika, przeskoczyliśmy odległość kilku lat i już sobie wyobrażamy, jak dorosły pan Jan oświadcza się dorosłej panie Andzi, już widzimy weselny orszak i Babcię grającą na trąbie weselnego marsza...

Na to też przyjdzie czas. Ale na razie wróćmy do dnia, w którym Babcia wytrąbiła Ponurasa. Bo chociaż Andzia narysowała w swoim pamiętniku słońce wolności świecące nad Miasteczkiem, my nie mamy jeszcze jasnego obrazu sytuacji.

Dopóki nie wyjaśnimy sobie wszystkich spraw, nie będziemy mogli jasnym wzrokiem patrzeć w przyszłość, a są rzeczy, które nas niepokoją. Nasze niepokoje, uszeregowane w porządku alfabetycznym, zaczynają się na A i kończą na Ż.

A – armaty... Co się stało z armatami?

Ż – żołdacy... Co z nimi?

Prócz alfabetu są i rachunki. Zostało nam przecież jeszcze trzech Zauszników za kratą + Strażnik + Najgorliwszy w łóżku. Z nimi także należałoby się policzyć.

Zacznijmy od Najgorliwszego. Kiedy żona przyniosła mu do łóżka wiadomość o losie Ponurasa i kolegów, Najgorliwszy jęknął głucho:

– Teraz to już kompletnie leżymy!

– Jak kto – wzruszyła ramionami Zausznikowa. – Ja na razie jeszcze stoję.

I zabrała się do pakowania manatków.

– Odchodzisz? – przeraził się. – A ja?

Machnęła ręką.

– Masz szczęście, że łóżko na kółkach... Ponurasa wy-trąbili, a ciebie wywiozą. Wyturlają cię, rozumiesz?

I Najgorliwszy został z Miasteczka wyturlany. Na tym łóżku na kółkach. A żołdacy poszli razem z nim. Sam wydał im rozkaz wymarszu. Krótki i dramatyczny. Do rymu, żeby lepiej zapamiętali.

– Żołnierze! Ja leżę!

Czy się stoi, czy się leży,  
prędko zwiewać stąd należy.

Ponuras wystawił nas lufą do wiatru.

Zabieramy armaty

i zwiewamy do chaty!

Bez armat poszli. Ani jednej nie pozwolono im zabrać. Wszystkie zostały w Miasteczku.

– Nie będziemy pisać poematów o armatach, ale na złom także ich nie oddamy. Strzeżonego pan Bóg strzeże! – powiedziała Babcia.

A Burmistrz, zdejmując z ratusza tablicę z napisem:

„Ponurogród”, dodał:

– Gdybyśmy od początku mieli armaty, nigdy by do tego nie doszło.

I zaraz zawiesił na ratuszowej wieży herb ze słońcem.

## ROZDZIAŁ 23

### Wszystko jasne

No tak, teraz to już wszystko jasne! W ciemnym lochu ratusza siedzi tylko trzech Zauszników i Strażnik, którzy czekają na sąd, a my jesteśmy na słonecznym rynku Miasteczka, na placu pełnym girland, kwiatów, serpentyn i ptaków, i czekamy na rozpoczęcie wielkiego festynu zwycięstwa, w którym wezmą udział wszyscy mieszkańcy.

Armaty z rynku usunięto, pod ratuszem stoi estrada, ludzie już się schodzą, widzimy Mamę Andzi, Piekarza, przez tłum przepycha się Jednoosobowy.

– „Co słyhać?” – woła machając gazetą. – „Co słyhać?”

– To co widać – śmieje się Piekarz i wszyscy patrzą na estradę.

A tam – wszyscy nasi bohaterowie. Dziadek siedzi na krześle. Babcia poprawia mu krawat, Janek poprawia dekoracje, Andzia przygląda szpakowi piórka. Bo szpak też jest. Siedzi na ramieniu Andzi i ma taką minę, jakby on tu był najważniejszy.

– Wszystko gotowe? – pyta Babcia.

– Tak jest! – uśmiecha się Janek. – Rodzina w komplecie.

– W tercecie – dorzuca Dziadek.

– W kwartecie, Kaziu, w kwartecie – poprawia go Babcia wskazując na Andzię.

– Precz z Ponurasem! – przypomniał sobie nagle szpak.

– Ciii... – mityguje go Andzia – Ponurasa Pierwszego mamy z głowy.

– Pierwszego i ostatniego! – oznajmia gromko Babcia. – Póki ja żyję, żaden Ponuras nie będzie nami rządził!

I już zaczyna się muzyka. Babcia gra na trąbie. Dziadek na wiolonczeli, Andzia słuchofonem Ponurasa wybija rytm na bębenku. A Janek śpiewa:

– Hej, ludzie, ludzie,  
chodźcie tu prędko,  
chcemy się z wami  
dzielić piosenką.  
Spójrzcie na Dziadka,  
spójrzcie na Babcię,  
naszą piosenkę  
na szczęście łapcie!

Teraz na Andzię kolej. Janek rzucił jej czerwony kwiat. Złapała go w locie. Śpiewa, a ptaki razem z nią. Wilga najgłośniej. Nie, to nie wilga, to flet, na którym gra Janek.

– Hej, ptaki, ptaki,  
moje skrzydlate,  
dobrze we dwoje  
cieszyć się światem.  
Zieloną wiosną,  
słonecznym latem,  
niebieskim niebem,  
czerwonym kwiatem!

Patrzcie – Dziadek zaśpiewał! Śpieszy się, żeby Babcia go nie uprzedziła.

– Hej, smyczku, smyczku,  
do tańca ruszaj,  
kiedy cię słyszę,  
mam niebo w uszach.

Babcia na trąbie gra  
jak archanioł,  
niebo mam w oczach,  
gdy patrzę na nią!

Ładnie Dziadek zaśpiewał. Wszyscy ludzie patrzą na Babcię, biją brawo. Aż tchu Babci zabrakło, tak się wzruszyła. Ale zaraz potrząsnęła głową i śpiewa, przytupując sobie nogą do taktu:

– Hej, trąbo, trąbo,  
trzymajmy fason,  
na potępienie  
graj Ponurasom.  
Stawiłaś czoło  
armatom, bombom,  
na wielką radość  
zatrąb nam, trąbo!

A teraz to już wszyscy ludzie śpiewają. I tańczą. Bo muzyka jest taka, że nogi same idą w taniec.

– Co dla Babci, co dla wnuków,  
a co dać sąsiadom?  
Dla każdego coś dobrego,  
a najlepsza radość.  
Niech jej będzie jak najwięcej  
i niech będzie taka,  
żeby człowiek z tej radości  
aż do nieba skakał!

## Spis treści

- ROZDZIAŁ 1. Kartka z pamiętnika Ptaszniczki
- ROZDZIAŁ 2. Sąsiedzi
- ROZDZIAŁ 3. Dalszy ciąg pamiętnika Ptaszniczki
- ROZDZIAŁ 4. Jak się układa piosenki?
- ROZDZIAŁ 5. „Co słyszeć?”
- ROZDZIAŁ 6. Andzia pisze w pamiętniku
- ROZDZIAŁ 7. Król Ponuras
- ROZDZIAŁ 8. Piosenka Ptaszniczki
- ROZDZIAŁ 9. U sąsiadów
- ROZDZIAŁ 10. Ptaki
- ROZDZIAŁ 11. Najgorliwszy
- ROZDZIAŁ 12. Medal Wielkiej Wagi
- ROZDZIAŁ 13. Szpak
- ROZDZIAŁ 14. U Babci
- ROZDZIAŁ 15. Imieniny
- ROZDZIAŁ 16. Prezent
- ROZDZIAŁ 17. Operacja „Trąba”
- ROZDZIAŁ 18. Wyprawa po słuchofon
- ROZDZIAŁ 19. Janek w akcji
- ROZDZIAŁ 20. Dalszy ciąg operacji „Trąba”
- ROZDZIAŁ 21. Z pierwszej ręki
- ROZDZIAŁ 22. Od A do Ż
- ROZDZIAŁ 23. Wszystko jasne